MYŚL NARODOWA



TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 9. WARSZAWA, 25 LUTEGO 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

NAJWAŻNIEJSZE ZAGADNIENIE

W MIARĘ, jak czas płynie, coraz plastyczniej występuje odrębność tak zw. przesilenia w Polsce. Ogólne formuły, które wyjaśniać miały jego przebieg, coraz bardziej tracą na wartości. Trudno chyba podtrzymymać pogląd, że nasz „kryzys", to kryzys nadprodukcji. Niema nagromadzonych zapasów, przeładowanych magazynów. A natomiast jest głód, nawet na wsi. Kryzys nasz, jeżeli już mamy się posługiwać tym wyrazem, z braku lepszego, to kryzys niedostatku. Naczelne zagadnienie, to walka z głodem. Nie interesuje nas w tej chwili filantropijna pomoc, lecz problemat ekonomiczny: w jaki sposób powiększyć produkcję i zatrudnić bezrobocią ludność, by nie powiększała się dalej jej pauperyzacja.

Zagadnienie to nie jest tak proste, jakby się na pozór wydawało. W Polsce jest wiele rąk do pracy, wiele setek tysięcy ludzi poszukuje jej bezskutecznie. Jak ich zatudnić? Przy pomocy kapitału. Ale tego kapitału nie można dowolnie powiększać. Na jego niejako naturalny przyrost długo trzebaby czekać. Sztuczne sposoby w rodzaju inflacji odnoszą skutek na krótką metę, a potem przez długie lata trzeba płacić słone rachunki tej operacji. Dopływ kapitału zagranicznego jest ograniczony, obecnie jeszcze bardziej niż przedtem, a w wielu wypadkach niebezpieczny dla naszej niezależności gospodarczej.

Nie tracąc z oczu tych wszystkich momentów, należy się zapytać, czy nie uda się uzyskać powiększenia produkcji, lepszego rozdziału dochodu społecznego i pełniejszego zaspokojenia potrzeb miljonów ludzi przez zmianę struktury społecznej, przez zmianę sposobu zatrudnienia ludności. Zastanówmy się nad tem, czy nie uda się lepiej gospodarzyć tym kapitałem, którym rozporządzamy, przez poprawę wewnętrznej równowagi produkcyjnej w gospodarstwie narodowem.

Zamierzam w tej chwili zwrócić uwagę na fakt, który niejednokrotnie podkreślałem, już od dość dawna, a którego wciąż jeszcze się nie docenia. Chcę uwydatnić zasadnicze odróżnienie między pracą produktywną i nieproduktywną. W Polsce jest stosunkowo za wiele pracy nieproduktywnej, a za mało produktywnej.

Przez pracę produktywną rozumiemy wytwórczość, która z powierzchni ziemi i z jej głębi wydobywa zasoby, służące do zaspokojenia potrzeb ludzkich; dalej wytwórczość przemysłową, która te zasoby przerabia; usługi transportowe, dzięki którym zbliża się je do konsumenta, wreszcie niezbędne czynności pośredników handlowych. A więc pracą produktywną jest wszelka wytwórczość dóbr materjalnych.

Pracą nieproduktywną jest działalność, która oddaje usługi niematerjalne: praca żołnierza, urzędnika, nauczyciela, artysty i t. d. Ta praca ma przeważne znaczenie dla kultury narodu, nadaje właściwy sens życiu. Dzięki niej człowiek różni się od zwierzęcia. Ale, niestety, żelazna konieczność ogranicza rozmiary tej pracy. Musi ona pozostawać w racjonalnym stosunku do pracy produktywnej. Gdy się zanadto rozrośnie, kosztem tej ostatniej, wówczas grozi społeczeństwu pauperyzacja.

Rolnik, robotnik, rzemieślnik dostarcza żywności ubrania, mieszkania, — żołnierzowi, nauczycielowi. Z punktu widzenia czysto materjalnego ci ostatni są konsumentami, a tamci producentami. Jedni wy-

twarzają, a drudzy zużywają. Warstwy oddane produkcji materjalnej wymieniają swoje towary na usługi, oddawane przez warstwy nieprodukujące. Jeżeli produkcja materjalna jest za mała, wówczas źle się dzieje jednym i drugim. Gospodarstwo narodowe nie może utrzymać wszystkich swoich uczestników. Część produkcji materjalnej idzie, przeważnie w drodze przymusu, na utrzymanie aparatu, oddającego usługi publiczne, a ten ciężar jest za wielki, jeżeli produkcja jest za mała. Przywrócić równowagę można tylko wtedy, gdy: 1) pomniejszy się ilość osób, które obciążają produkcję materjalną, a same nie wytwarzają dóbr materjalnych; 2) gdy powiększy się ilość i wartość produkcji materjalnej, gdy wzrośnie znaczenie pracy produktywnej w porównaniu z pracą nieproduktywną. Wtedy tylko może wrócić równowaga gospodarstwa narodowego.

Mógłby ktoś, powołując się na cyfry, wykazywać, że procent ludzi, zatrudnionych przez państwo i związki publiczne w oddawaniu usług niematerjalnych, nie jest u nas większy, aniżeli w innych krajach. Ale nie można zapominać o tem, że reszta społeczeństwa jest bardzo uboga, że więc utrzymanie tamtego aparatu ciąży na niej nadmiernie, co wyraża się choćby w wyczerpaniu siły podatkowej ludności. A przytem wchodzi tu w rachubę nietylko czysto ilościowy stosunek pracy produktywnej i nieproduktywnej. Także i praca produktywna może być za mało wydajna, zbyt kosztowna, co również wpływa na niedobór produkcji.

Jeżeli kosztem publicznym lub i prywatnym robi się różne inwestycje, które nie przynoszą dochodu, które nie powiększają na trwałe produkcji, a tylko ciążą na rentowności gospodarstwa, wówczas, po chwilowem ożywieniu przez t. zw. inwestycje, powiększa się depresja. Gmach reprezentacyjny na stałe nie zaspokaja materjalnych potrzeb ludności. Instalacja fabryczna, która nie odpowiada rzeczywistym potrzebom, jest pozycją martwą w gospodarstwie.

Nikt dalej nie może kwestjonować rzeczywistej potrzeby pośrednictwa handlowego. Ale nie można uznać tego pośrednictwa w całości za pożyteczne, gdy jest nadmierne, gdy rozpiętość pomiędzy ceną, płaconą producentowi, zwłaszcza rolnemu, a ceną uzyskiwaną od konsumenta jest zbyt wielka. Aparat pośredniczący, nadmiernie rozrosły na tle upadku produkcji, zabiera zbyt wielką część dochodu społecznego. Wiadomo, że ten aparat jest w olbrzymiej większości w rękach żydowskich. Bez jego wydatnej redukcji nie otrzyma rolnik tego, co mu się naprawdę należy.

A wreszcie w produkcji przemysłowej jest sporo martwych kosztów, które tamują obniżkę ceny, a powiększają rozpiętość między towarami przemysłowemi i rolnemi. Nadmierny rozrost kartelizacji i reprezentacji zawodowej, nieusprawiedliwione monopole produkcyjne, różne koncesje o charakterze wyłącznym, to wszystko stwarza t. zw. przerosty, przeszkadzające powstaniu prawidłowej równowagi wymiennej.

A więc należy powiększyć pracę produktywną kosztem pracy nieproduktywnej. Powiększyć ilość tych, którzy wytwarzają dobra materjalne, kosztem tych, którzy je konsumują. A równocześnie praca produktywna musi stać się bardziej wydajna, wytwarzać więcej i taniej, pozbyć się różnych ciężarów, które zmniejszają jej wyniki. To jest naczelny, bezpośredni cel polityki gospodarstwa narodowego. Niema innego sposobu, by walczyć skutecznie z głodem, bezrobociem i pauperyzacją.

Do tego celu można dążyć różnemi drogami. Ale do tego zmierzają w gruncie rzeczy najsprzeczniejsze nawet kierunki ekonomiczne. Liberalizm z tego punktu widzenia przemawia przeciw rozrostowi gospodarki państwowej. A zaś bolszewizm, ze swemi planami różnych „piatiletek“, również w zasadzie zmierza do tego samego celu. Jak to osiągnie, to inna sprawa. Narazie np. pogłowie bydła w Rosji sowieckiej, w trakcie urzeczywistniania tych wielkich planów spadło o dwie trzecie. To już jednak są dalsze zagadnienia. W tej chwili trzeba mocno podkreślić, że Polska jest krajem, w którym niedobór produkcji materjalnej daje się we znaki. Polska jest krajem, w którym niema nadprodukcji. I dlatego muszą zajść wielkie zmiany w naszej strukturze społecznej, jeżeli chcemy uchronić się od dalszej klęski.

ROMAN RYBARSKI

PRACA ZAROBKOWA KOBIET

W ARTYKULE moim w Nr. 38 „Myśli Narodowej“ z września ub. r. pisałam, że należy zapobiec pracy zarobkowej kobiet, która, wkładając na nie zbyt wielki ciężar zadań, nie pozwala na dobre wypełnienie ich najważniejszych obowiązków domowych. Całkowite rozwiązanie tego problemu pozostawić musimy przyszłości, a to, co przed oczyma naszemi rysuje teraźniejszość, jest, niestety, smutne.

Kobiety pracują zarobkowo. Jest to objaw zły ze względu na konsekwencje moralno-społeczne, o których pisałem. Na fakt ten nie znajdziemy żadnego usprawiedliwienia wtedy, gdy rodzina ma zapewnioną egzystencję w oparciu o pracę mężczyzny. W takich warunkach zupełnie słuszne jest redukowanie kobiet, aby ich miejsce mogli zająć bezrobotni. Bo jakże tragicznie wyglądają w zestawieniu: pragnienie chleba i pragnienie jeszcze jednej „pary modnych pończoch“.

Często jednak kobieta musi pracą swą uzupełniać dochody domu, pensja bowiem, jaką otrzymuje mężczyzna, nie wystarcza na utrzymanie ro-

dziny. Liczba takich właśnie kobiet wzrastać będzie z dnia na dzień. Coraz więc aktualniejsze stają się dwie kwestje: sprawa wynagrodzenia i nowych źródeł zarobku.

Kobieta musi otrzymywać płacę, równą wynagrodzeniu mężczyzny, po pierwsze dlatego, że inaczej dojdziemy do absurdalnego zdeprecjonowania pracy, powtóre podwójne kategorje wynagrodzenia opierają się przeważnie na wyzysku pracy kobiet.

Zanim przejdziemy do omawiania nowych możliwości zarobku, wypadnie zanalizować krótko najbardziej dotąd popularne wśród kobiet sposoby zarobkowania. Żadna praca nie da się ująć jako zjawisko czysto ekonomiczne, jest bowiem czynnością żywego człowieka, treścią swoją wypełnia część jego życia zarówno fizycznego jak i psychicznego, jest zawsze funkcją społeczną. Dlatego w analizie tej chodzić będzie o dwie reczy: jaką wartość społeczną przedstawia sobą dany typ pracy, wykonywanej przez kobietę i jak wpływa na nią samą, następnie zaś jakie przynosi korzyści materjalne. Mówić tu trzeba o trzech sposobach zarobkowania: pracy umysłowo-twórczej, umysłowo-mechanicznej i pracy fizycznej w fabryce.

Dotychczas wiele kobiet szukało zarobku na niewłaściwej drodze. Trzeba nareszcie zrozumieć i rozdzielić dwie kwestje: wykształcenie jako pomoc do podniesienia człowieka na pewien poziom kulturalny i przygotowanie do pracy zarobkowej. Byt swój opierać można o pracę umysłu tylko wtedy, gdy umysł ten zdolny jest do samodzielnej pracy twórczej. Dotyczy to zarówno mężczyzn jak i kobiet. Ale przeciętny mężczyzna ma tę przewagę nad kobietą, nawet stojącą od niego intelektualnie wyżej, że umysł jego nie przechodzi takich kryzysów, wynikających z ustroju fizjologicznego. „Inteligencja kobiety jest przepadzista — wahania jej są bardzo znaczne: skoki i spadki, a czasem stagnacje. Z taką właściwością umysłu można być genjalnym teoretykiem, ale w pracowniku jest to morderczy *minus*" (Grossek-Korycka: „Świat Kobiecy").

I dlatego—tylko wyjątki mogą podejmować pracę zarobkową, wymagającą ciągłości wysiłków umysłowych i one właśnie pokryłyby zapotrzebowanie. Tymczasem wyższe uczelnie przeładowane są balastem studentek. Przystępując bez zamiłowania i zdolności do studjów, a potem do pracy, kobiety te stają się męczenniczkami i z obrzydzeniem dźwigają ciężar swoich obowiązków. Często, bardzo często załamują się przed końcem studjów (statystyki wstępujących i kończących) i stają się wykolejonemi pseudointeligentkami (Else Crower: „Psychika młodzieży żeńskiej"). Ten niepotrzebny balast niezdolnych kobiet, jak zresztą i mężczyzn, fatalnie obniża poziom studjów, a potem poziom pracy zawodowej. Bo jeżeli powołanie do pracy opiera się jedynie na pragnieniu pieniądza, człowiek staje się wyrobnikiem, który zamiast wzbogacać teren, na którym pracuje, stara się go tylko eksploatować. Samo zaś eksploatowanie przy znanej powszechnie nadprodukcji inteligencji jest dziś rzeczą coraz mniej możliwą.

W pracy umysłowo-mechanicznej kobieta zwykle wywiązuje się ze swych obowiązków dobrze. Jest drobiazgowo dokładna i systematyczna. Praca ta jednak nie wnosi nic do jej życia. Przeciwnie, często wyjałowia umysł, tamuje rozwój indywidualności. Kobieta tak łatwo wpada w szablon przy sprzyjających temu warunkach. Strona materjalna nie przedstawia się korzystnie. Z trudem zdobyta posada może się wymknąć każdej chwili. Nienormalnie wielka konkurencja zmusza do akceptowania warunków ciężkich, siły wykwalifikowane są usuwane po to, aby nowoprzyjętym dać pensję niewspółmiernie niższą od wartości pracy.

Praca robotnic fabrycznych nie przedstawia sobą żadnych wartości społecznych. Ze względu na słabszą budowę fizyczną, kobiety pracują mniej wydajnie, niż mężczyźni. Natomiast nieobecność ich w domu i w życiu rodzinnem przynosi niepowetowane straty. W żadnym innym zawodzie kobieta nie zaniedbuje tak domu, a w żadnem innem środowisku praca kobiety nad utrzymaniem spoistości rodziny nie jest tak nieodzownie potrzebna, jak właśnie w środowisku miejskiego proletarjatu. Dla samej kobiety praca fabryczna jest największą krzywdą. Zabija jej siły fizyczne. Przychodzą nieuniknione choroby zawodowe, zniekształcenia zewnętrzne, aż do kalectwa włącznie. I ta beznadziejna choroba duszy, wplątanej w wiecznie jednakowy rytm maszyny, przeżartej nerwowym strachem o pracę, którą łatwo stracić. Niewolnicza zależność od grubjańskich majstrów i zamieranie w twardych warunkach życia całej moralnej wrażliwości. Jak dalece praca fabryczna nie odpowiada psychice i fizycznej strukturze kobiety, dowodzi fakt, że w żadnym dotychczas kraju nie udało się stworzyć takich warunków, aby praca ta nie pociągała za sobą ujemnych następstw (Patrz: Sprawozdania kongresu katolickich organizacyj robotniczych w Paryżu, czerwiec ub. r.). Uzupełnieniem tego wszystkiego jest coraz większa obniżka płac i ciągła groźba bezrobocia.

Trzeba kobietom dać takie sposoby zarobkowania, które możliwie najbardziej będą odpowiadać ich uzdolnieniom. Szukając tych sposobów, należy starać się o objęcie dziedzin takich, żeby wzbogacić życie gospodarcze i zapobiedz niezdrowemu współzawodnictwu w łonie samego Narodu.

Masy kobiece skierować trzeba do pracy rękodzielniczej. Specjalnie oddać ich opiece rękodzieło artystyczne, wszelkie rodzaje drobnej wytwórczości, opanowane przez żydów, wreszcie przemysł przetwórczy wsi.

Wszystkie te rodzaje pracy opierać się mogą na małych warsztatach, zainstalowanych w domu, co pozwoli na wykonywanie zajęć domowych. To oczywiście jest bardzo ważne.

Praca ta odpowiadać może różnym poziomom wykształcenia i szerokiej rozpiętości uzdolnień. Trzeba przestać traktować ją jako coś niższego pośród różnych rodzajów zatrudnień. Słusznie powiedział któryś ze współczesnych autorów: „Zawsze jestem pełen szacunku dla dobrego krawca, czy krawcowej. Są oni czasem prawdziwymi artystami i elementami gospodarki światowej". Jednostki utalentowane mogą rozwijać indywidualną twórczość, wprowadzając do zajęć fizycznych trochę intelektu i artyzmu. Jednocześnie potrzebna jest znaczna ilość pracownic — rzemieślniczek, od których wymaga się tylko fachowego wyszkolenia. Wszelkie tego rodzaju zajęcia znacznie bardziej odpowiadają kobiecie, niż zautomatyzowana praca biurowa czy fabryczna. Pozwalają na ruch i urozmaicenie, czynniki potrzebne kobiecie do życia, a przynajmniej dobrego samopoczucia. Wymagając zręczności bez dużych wysiłków fizycznych, dokładności i czasem inwencji, roboty ręczne były zawsze specjalnością kobiety i powinny nią pozostać.

Strona materjalna przedstawia duże możliwości. Realna wysokość zarobku zależeć będzie od następujących rzeczy: fachowego wyszkolenia, umiejętności prowadzenia handlu na własnym terenie i odpowiednich sił do walki ze wszelkiemi możliwemi konkurencjami.

Kobieta, zwykle skrzętna i zabiegliwa, potrafi doskonale kierować małem przedsiębiorstwem handlowem. Mając w swoim domu warsztat i sklep, unikając możliwie pośrednictwa, osiągnąć może zadowalające zyski.

Jeżeli chodzi o fachowe wykształcenie, muszą jej przyjść z pomocą organizacje kobiece, kierując do odpowiednich szkół. Również na barki organizacyj kobiecych spada ciężar zwalczania wszelkiej niepożądanej i zakrojonej na większą skalę konkurencji.

Naturalnie, w chwili obecnej występują pewne trudności. Ale są one tego rodzaju, że samo ich usunięcie będzie korzystne dla interesu Narodu.

Artystyczna wytwórczość ręczna napotyka na swej drodze konkurencję szablonowej tandety fabrycznej. Oczywiście, nigdy nie będą mogły konkurować w cenie piękne i żmudnie skomplikowane roboty ręczne z taniemi wyrobami fabrycznemi. To są rzeczy luksusowe i mogą być reklamowane jedynie jako takie. Natomiast hafty, wyroby wełniane i t. p., o tyle proste w wykonaniu, że mogą rywalizować z produkcją fabryczną, powinny produkcję tę wyprzeć. Chodzi tu o przerzucenie pracy maszyny na ludzi, o rozdzieleniu zysku,ześrodkowanego w nielicznych przedsiębiorstwach, między liczne, w nędzy żyjące rodziny. Problem już bardzo popularny, ale dziś myśl tę trzeba zrealizować, powołując na usługi reklamę i modę, która potrafi hypnotyzować, i która musi objąć cały kraj.

Dział drugi, dotąd bardzo zaniedbany, to drobna wytwórczość, opanowana przez żydów. Według statystyki z b. r. warsz. izby rzemieślniczej, 56% warsztatów rzemieśniczych stolicy jest w rękach żydowskich. Niektóre działy, jak rękawicznictwo, czapnictwo i t.d., nie mają prawie wcale wytwórców Polaków. W Warszawie najpoważniejsze magazyny sprzedają rękawiczki z wytwórni żydowskich. Na jarmarkach wiejskich można kupić czapkę tylko u żyda. W miastach prowincjonalnych gorseciarstwem i kapelusznictwem zajmują się prawie wyłącznie żydówki. Bezrobotnym, biednym kobietom dać fach w rękę, cały popyt, jaki jest w tej chwili, skierować w ich stronę, a dochód napewno starczy dla wielu.

Trzecia dziedzina, to cały przetwórczy przemysł wiejski. Wielkie, dotąd nie wyzyskane tereny, nadające się do eksploatacji. Próby nie powiodły się dlatego, że z jednej strony stało na przeszkodzie niedbałe przygotowanie fachowe (przeróbka masła polskiego w Danji przed eksportem do Anglji, import lnu z zagranicy), z drugiej strony konkurencja wielkiego przemysłu (len).

Rosnąca w sposób przerażający nędza wsi i miasteczek, nadmiar rąk roboczych, które nie mogę znaleść zatrudnienia w mieście i chorobliwe wyczekiwanie poprawy zmuszają do zajęcia się losem tamtych ludzi i szukania środków zaradczych. Sytuację można polepszyć. Trzeba stwarzać małe, samowystarczalne warsztaty wiejskie; poco kupować tandetę bawełnianą, przeważnie u żyda, lub sprowadzać zdaleka wełniaki, jak to gdzieniegdzie wchodzi w modę. A potem rozwinąć przetwórczość nabiałową, mięsną, owocową, znaleść wspólnemi siłami zbyt, rzucić na rynek nęcące, a może nieznane produkty. Wszędzie tu potrzebna jest bardzo kobieta i mieszkanki wsi niech zostaną u siebie, zamiast gdzieś w świecie wchodzić w drogę innym.

We wszystkich tych dziedzinach kobieta, stwarzając sobie warsztat pracy i pomagając do utrzymania domu, staje się jednocześnie ważnym czynnikiem ekonomicznym w Narodzie, rozszerza bowiem życie gospodarcze na tereny, zagarnięte przez obcych lub dotąd niewyzyskane.

Żadne jednak wysiłki indywidualne nic tu znaczyć nie będą. Potrzebna jest pomoc i praca organizacyj, które w myśl interesu narodowego powinny masom kobiecym wskazać kierunek i z całą bezwzględnością usuwać przeszkody, jakie wystąpić mogą na drodze do celu.

MARJA SUCHENI-RUTKOWSKA

KOŃ TROJAŃSKI

CECHĄ każdej prawdziwej idei, prawdziwej w jej ideologicznym charakterze, a nie w koncepcji, która może także być chybioną, jest apostolstwo. Apostolstwo to opanowuje tak samo wiary, jak wszelkie zapały w kierunku nauki, sztuki, hygjeny, sportu, — jak i doktryny społeczne, mądre i głupie.

Oczywiście z tego pędu do propagandy u zelantów korzystają nieraz wyższe wyrachowania i interesy, celem opanowania społeczeństw i organizowania ich sobie w sposób dla nich dogodny, przez narzucanie im doktryn fałszywych, w złej wierze skonstruowanych. To nas tu jednak nie obchodzi.

Apostolstwo to ma pobudki rozmaite: Po pierwsze najpierwotniejsze instynkty stadne. Dążność do rozszerzenia swego gatunku w znaczeniu psychicznem, do ujednostajnienia cech wspólnych, poza któremi zostaje wrogość psa do kota. W tem korzeni też poczucie i prawo do władzy, jakie wypowiedziało się np. tezą pokoju westfalskiego: *„Cuius regio, eius religio"*.

Z tem się wiąże drugi moment, bardziej idealistyczny. Jest to pragnienie wyznawców podporządkowania swemu ideałowi, swemu bogu, ku większej jego chwale, jaknajszerszego koła jego wiernych. Nam, jako wiernym Kościoła rzymskiego, zależeć musi na nawracaniu innowierców ku chwale prawdziwego Boga-Chrystusa i na jaknajwiększej potędze moralnej Jego Kościoła na ziemi. I nie możemy też tego brać za złe innym. — Biorąc górę nad innemi pobudkami, wypowiadał się ten czynnik zarówno w krwawych rzeziach Mahdiego, jak w Inkwizycji, która zresztą (pochodzenie Wielkiego Inkwizytora?) była zwyrodnieniem idei chrześcijańskiej, któremu Rzym był przeciwny.

Jeśli mówiliśmy o instynktach pierwotnych, to trudno pominąć też tę pobudkę symplistycznych, a apodyktycznych umysłów do narzucania drugim swoich przekonań dla dogodzenia własnej ambicji by nikt nie śmiał inaczej myśleć, niż one.

Czwartą pobudkę zawiera w sobie sama treść tych idej, które głoszą braterstwo ludzi. W idei chrześcijańskiej znajduje ona swoje napięcie najwyż-

sze, głosi bowiem braterstwo w Chrystusie wszystkich warstw, ponad wszelkie ideje, zarówno klasowe jak rasowe i narodowe. — Nie wykluczając innych struktur społecznych, ogarnia je wszystkie w wyższym horyzoncie. Nie przecząc prawom przyrody, rodziny i narodu, podstawom kary i nagrody społecznej, — trafia do wszystkich ludzi, bierze w posiadanie, jako ostateczna ucieczka, skazańca narówni z człowiekiem chodzącym w chwale doczesnej i w opinji świętości.

Tak jest wtedy, jeśli idea sama zawiera misję łączenia we współczuciu ludzi, wszystkich czy tylko wybranych — i wtedy staje się przyczyną propagandy wśród tych wszystkich, czy tylko wśród tych wybranych. Jest jednak jeszcze jedna, ostatnia pobudka, właściwa nietylko chrześcijaństwu, ale wszystkim wielkim i szlachetnym ideom.

Wielkie uczucia — muszą mieć pęd zarażania — choćby wbrew wszelkiej logice i wyrachowaniom. Wielkie ideje są tylko te, które poza wszelką spekulacją biorą soki ze szlachetnego serca. A szlachetne serce nie może życzyć źle nawet wrogom. Serce pełne wielkiej idei będzie zawsze hojne dla drugich. Umiejące kochać swoich rannych żołnierzy, będzie miało miłosierdzie dla rannych nieprzyjaciela, — miłujące swoje dzieci, będzie miało współczucie dla dzieci wroga, — religijne naprawdę, będzie pragnęło nauczania innych własnej religji, ale będzie też miało szacunek dla religji bliźniego, — serce, które ma poczucie własnej wielkości w miłości swego narodu, będzie miało zrozumienie dla tych samych pobudek, które gdzieindziej zapaliły ideje narodowe. Nie może być, aby nie obudziły one w niem echa strun na ten sam ton nastrojonych.

I dlatego cieszy nas odrodzenie Włoch. Dlatego także — choćby się nam tam nie wszystko podobało — mamy sympatję dla hitlerowskich Niemiec — mimo niepokoju, jaki w nas budzi myśl, że umocniwszy się wewnętrznie pomyślą o obróceniu się przeciw nam — i mimo, że wiemy, jak pod niejednyn jeszcze względem jesteśmy za niemi w tyle, gdyby nam przyszło wziąć się za łby. Może też walka ta, jeśli przyjdzie, będzie uczciwszą. Dotąd bo Niemcy były wcieleniem idei niskiej i dlatego one to jedne hołdowały zarówno sianiu rewolucji u sąsiadów i wszelkiemu politycznemu trucicielstwu, jak niszczeniu kościołów i bombardowaniu szpitali, one to wprowadziły, niecofnioną już jak się zdaje, wojnę gazową, a co dla nich było święte lub oburzające, to odwrotnie za oburzające albo też, co najmniej, za sympatyczne poczytywali u swoich sąsiadów.

Sympatja pokrewnych idej, to prawdziwe braterstwo ludzi poza wszelką koniecznością regulowania między sobą rachunków i dobijania się przedewszystkiem o swoje. A jeżeli jest jaka droga do względnego pokoju, to droga, która się poczyna we wzajemnem zrozumieniu i prowadzi do wzajemnego poszanowania tego, co jest poszanowania godne.

Nasze sympatje dla nacjonalizmów innych krajów doprowadzają jednak „czarny lud" do białej pasji—ochrzcili je też mianem „białej międzynarodówki", wołając—teraz, gdy chodzi o ich skórę— na alarm, że się przyjaźnimy z Niemcami *(sic!)*, że skoro nam się podoba np. Goethe, to już daliśmy pod placki Mickiewicza. A może nawet... o zgrozo: Tuwima!

O tem jednak innym razem.

Polskie apostolstwo wiary katolickiej ma za sobą szczególne tradycje. Wystarczy przytoczyć chrzest Litwy i unję brzeską. Ale kultura duchowa Polski, górująca tu nad całym światem, wykluczyła z dzieła misji religijnej polskiej nietylko wszelki fałsz i pretekst do rabunku, jakim rządziło się krzyżactwo, nietylko wszelki bezpośredni interes, lecz także te wszelkie pierwotne instynkty, od jakich gorzała Europa w wojnie trzydziestoletniej. Zarówno Krzyżakom, jak i całej reszcie świata przeciwstawił był tezę polską na soborze w Konstancji Paweł Brudzewski *quod „fides ex necessitate esse non debet"*. Ta też myśl dała podstawę wiekopomnej „konfederacji dyssydentów". Polska raz tylko i za cudzą namową wydała wojnę zaczepną Turkom za Warneńczyka, a w żadnej krzyżowej wyprawie udziału nie wzięła, ale bezprzykładną, bezinteresowną ofiarą krwi pod Wiedniem umiała dowieść, że potrafi być tarczą chrześcijaństwa.

Oto dzisiaj na porządku dziennym stają nowe problemy apostolskie. Przedewszystkiem problem „nawracania" żydów. Chodzą słuchy, że oto ziarno nauki pada na podatną rolę, — że perspektywy przechodzenia Izraela na łono Kościoła katolickiego otwierają się duże. Zapał gorliwych apostołów rośnie. Oto słyszymy o idyllicznej lekturze, gdzieś zdaje się, w Białej Cerkwi w synagodze... Ewangelji Świętego Jana. Oto skądinąd dochodzą wieści o masowem zgłoszeniu się tysięcy żydów do przyjęcia chrztu.—Czy dla nas, katolików, nie może to być przyczyną radości?...

Weźmy rzecz z drugiego końca. Wiemy już o tem, że pisma żydowskie nietylko nie zabraniają, ale polecają żydom przyjmować pozornie wiarę innych ludów, jeśli im to może dopomódz do łatwiejszego panowania nad niemi. Czy trudno nam wyobrazić sobie, że mędrcy żydowscy, coraz bardziej przyciskani do muru przez budzące się ruchy narodowe, będą się starali zawczasu sięgnąć do tego radykalnego środka i dadzą swoim szeregom hasło posypania głów popiołem z ziemi Chanaan i poddania ich równocześnie oblaniu wodą święconą? Skąd pewność, że tak nie będzie? Więcej: skąd niepewność, że tak właśnie będzie? A jeśli tak, to należy zastanowić się, o co chodzi: Czy sama liczba rejestracyjna dusz służyć ma ku chwale Boga i czy tylko liczba stanowić ma potęgę Kościoła?

Doświadczenia, jakie miał Kościół katolicki z Frankiem, doświadczenia, jakie ma z Zamorrą i jego kompanją, którzy po pięciu wiekach chrztu, przyjętego z interesu przez ich przodków, dokonują strasznego odwetu na katolickiej Hiszpanji — powinny dać do myślenia ludziom zbyt gorliwym.

Nie może tu bowiem chodzić o polanie wodą święconą, która jest sakramentem dla wierzących i niewinnych, ale może być świętokradztwem dla ludzi złej wiary. Chodzi o całkowitą przemianę duszy żydowskiej. A czy dusza żydowska tak łatwo da się odmienić? Dusza ta przez długi szereg pokoleń, w ciągu lat paru tysięcy wychowana w kulturze, nietylko odmiennej, ale wprost przeciwnej kulturze ludów chrześcijańskich i aryjskich, dusza, która bądź co bądź dowiodła niepospolitej spoistości współplemieńców i współwyznawców, może okazać się, co gorsza, nieraz silniejsza od psychiki wielu wiernych i nietylko nie asymilować się, ale asymilować katolików do siebie. Mamy

przecie tego jaskrawe analogje na gruncie świeckim. A jeśli przypomnimy sobie, że nasze Księgi Święte wyszły ze Starego Testamentu, to możemy sobie zdać sprawę także z tego, że temi samemi drogami, jakiemi ponad Stary Testament poszła idea chrześcijańska, będzie ich ideowo wstecz cofać ich tradycja, a z nimi niejedną anemiczną grupę „braci w Chrystusie“, zaczepioną po drodze. Znamy ich błyskotliwy talent propagandy i djalektyki!

Zupełnie dostateczną miarę tego, jak niebezpieczną może być dusza żydowska w kapturze katolickim, daje książka ochrzczonego żyda Hennera, podpisana jego rodowem żydowskiem nazwiskiem,— Gabrjela Jehudy ibn Ezry: „Chrześcijańskiego żyda wspomnienia, łzy i myśli“, która suggeruje czytelnikowi, jakoby on właśnie, żyd, właściwie pojmował ideję Chrystusową, fałszuią zaś ją w praktyce księża katoliccy. Książka obleśnie pokorna i obleśnie protekcjonalna, pełna fałszów moralnych i fałszów faktycznych, która się w „Gazecie Kościelnej“ spotkała z należytą oceną. Jedyną dodatnią jej cechą jest to, że autor przestał udawać Polaka. Znamiennym też był przed dwoma laty wypadek z neofitą-księdzem we Francji, który wystąpił w druku z propagandą ateistyczną.

Jakto? Czyż więc niema ludzi, którzyby prawdziwie porwani ideą chrystjanizmu, nasiąkli kulturą narodu, wśród którego żyją — chcieli szczerze, naprawdę z głębi przekonania i z odrazy do żydostwa wyrzec się go i przyjąć naszą wiarę? — A jeśli są tacy, czy ma im być droga do tego zamknięta? Owszem. Są tacy. Znam ich, szanuję osobiście—często kropla silniejszej krwi polskiej zatrze w nich zupełnie ślad semickiego pochodzenia. Znam nawet stuprocentowych semitów z urodzenia, „wyrodków” żydowskich, którzy ulegli i wierze naszej i kulturze polskiej; są to, co więcej, jednostki z wysokim charakterem, które wiedzą o swym atawiźmie, o jego potencjalnej sile i bohatersko walczą z tym swoim wrogiem wewnętrznym. Może w tym samym duchu wychowywane ich dalsze pokolenia coraz mniej będą miały w sobie tego wroga, ale oni sami, tak jak ja, wcale nie są tego pewni. Matka Boya, frankistka Grabowska, była osobą wielkiej zacności pono, dobrą Polką i katoliczką, a w nim samym, mimo rasowego ojca Polaka, odezwał się stuprocentowy żyd.—Jest we Lwowie bardzo wybitna rodzina ziemiańska i ultra-katolicka, usiłująca zatrzeć ślad, że ich pradziad był pachciarzem. Podczas krwawienia się każdego niemal domu polskiego w obronie Lwowa, trzech synów tej rodziny, zdrowych młodzieńców siedziało bezczynnie, tłumacząc się awersją strzelania do ludzi, którzy im „osobiście (*sic!*) nic złego nie zrobili“. W Warszawie mieliśmy lepszych. Powiemy o nich jeszcze.

Musimy przecie wierzyć mimo to w wyjątki. Gdzie jednak drwa rąbią, tam wióry lecą. Nie można dla jednostek tracić z oczu spraw zasadniczych, tak jak np. nie można dla kilku przyjaciół Niemców uchylać się od wojny z Niemcami, gdyby była potrzebną. Nie można też dlatego, że jakiś Meisels uczestniczył w powstaniu—choćby to nie było taką bujdą jak z pułkiem Berka Joselewicza—brać do eskontu jego weksla, prezentowanego przez jego wnuka, Feliksa Kohna, komunistę i wroga narodu polskiego.

No dobrze, jakże jednak pogodzić to stanowisko ze stanowiskiem syna Kościoła, który może wprawdzie zrezygnować z liczby wyznawców dla ich wartości, ale nie może wyrzekać się nadziei istotnego, choćby w ciągu pokoleń, nawracania niewiernych, — nie może wyrzekać się tej nadziei, nadziei choćby na łaskę Bożą i cud?

Nie! Podkreślam to dobitnie. My nie jesteśmy przeciw nawracaniu żydów. Przeciwnie. — My tylko nie chcemy, aby do uli naszych wełgiwał się „mól woskowy” z noweli Kiplinga, udający pszczołę na to, by w nie wnosić zarazę, rozprzęgać naszą pszczelną organizację i nasz pszczeli rząd i składać swe mole jaja w naszych komórkach.

My nie chcemy, aby chrzest dla żydów był koniem trojańskim, w którym wjeżdżać będą pomiędzy nas. A my mamy pewność, że żydostwo tej drogi jak próbuje, tak na wielką skalę próbować będzie, jeżeli pozwolimy sobie zamydlać oczy.— Jakież wobec tego jest wyjście z tego dylematu?— Niema tu żadnego dylematu. Po raz drugi stwierdzamy, że niema i nie może być sprzeczności między stanowiskiem narodowem, a stanowiskiem kościelnem. Wyjście jest tylko jedno.

Jeżeli żydzi chcą wykorzystać drogę zmiany religji do wejścia w społeczeństwa aryjskie, to tę fintę, zarówno w interesie tych społeczeństw, jak w interesie Kościoła, należy udaremnić. Dlatego obowiązkiem nacjonalizmu jest podkreślanie zupełnej obojętności na zmianę religji żydów, jeśli idzie o zaliczanie ich z tego tytułu do swoich. Dla Kościoła będzie to tylko dobrą przysługą, bo wtedy będzie miał pełną gwarancję, że wszystko, co mimo to zmieni wiarę, bez nadziei wcielenia kiedykolwiek do obcego narodu, będzie naprawdę chrześcijańskie z ducha i może z czasem przetworzyć swoją żydowską duszę. Tak samo nikt nie powinien im za to obiecywać jakichkolwiek na świecie politycznych protekcyj. A gdyby nawet jakie nieszczęsne gorliwce chciały, żeby naród żydom za ich chrzest zapłacił, pozyskaliby wtedy tylko nie wiernych, ale najmitów, straszliwy element rozkładu. *Fides* — zarówno „*ex necessitate*“, jak „*pro proemio*“ *esse non debet*! — A neofici niech pomną pierwszych chrześcijan, jeśli im tylko z braku nagrody zbyt gorzkim wyda się Akt Wiary.

Żydzi dla nas jako Polaków nie są obcymi dlatego, że są mosaistami, tylko dlatego, że są żydami, są stokroć niebezpieczniejszymi, niż którykolwiek naród katolicki — i nie staną się naszymi przyjaciółmi, choćby wszyscy w Jordanie chrzest przyjęli. Ktoby o tem wątpił, niech przypomni sobie niezapomnianą apostrofę, skierowaną do Polaków przez katolika w drugiem pokoleniu, Słonimskiego, kiedy bolszewicy szli na Warszawę: „Twarze wam męczyć, pyski prać... boicie się „czarnego luda“?—

Ktoby o tem wątpił, biorąc na siebie ciężką odpowiedzialność takiej lekkomyślnej wątpliwości, niech się pofatyguje przeczytać materjały Krasnowskiego („Światowa polityka żydowska”). Nie obiecujemy żydom za chrzest nietylko uznania ich za Polaków, ale będziemy dla pewności rejestrować wszystkich, o których wiemy, że mają lub mieli śledzia w familji. — Bronić będziemy czystości narodu i czystości intencji ideowej katolicyzmu, między któremi niema sprzeczności.

PIOTR PONISZ

NOWE STUDJUM O FILOZOFJI CIESZKOWSKIEGO

Z WYJĄTKIEM Józefa Gołuchowskiego, o którym wzorową monografję ogłosił przed dziesięciu laty Stefan Harassek (docent Uniwersytetu Jagiellońskiego — jedyny w naszych pięciu czy sześciu uniwersytetach profesor, wykładający historję filozofji polskiej, jako odrębny przedmiot), nie posiadamy o naszych myślicielach XIX wieku wyczerpujących monografij. Nie stanowi tu wyjątku nawet bardzo cenna praca Henryka Struvego o Józefie Kremerze, poprzedzająca zbiorowe wydanie jego pism, i jej bowiem wyczerpującą nazwać nie można, podobnie jak nie pozbawionej wartości monografji Maurycego Straszewskiego o Janie Śniadeckim, oraz posiadającej rzetelną wartość rozprawy niemieckiej Adama Żółtowskiego o „filozofji czynu" Cieszkowskiego. O Trentowskim obszerną monografję napisał Władysław Horodyski, ale dlaczego ją wydała nasza Akademja Umiejętności (jeszcze za czasów nieboszczki Austrji)? Chyba jedynie dlatego, „żeby trudniej było zgadnąć", bo przecie jest to książka, pomimo że autor włożył w nią niemało pracy, wręcz skandaliczna ze stanowiska naukowego, co, mówiąc nawiasem, spokrewnia ją z pierwszym (i, na szczęście, jedynym) tomem „Dziejów filozoficznej myśli polskiej" Straszewskiego, a jeszcze bliżej — z uzupełnioną przeróbką tego „dzieła", sfabrykowaną przez Franciszka Kwiatkowskiego.

Lecz, wracając do monografij o filozofach polskich XIX wieku, ich brak tłumaczy się w znacznej mierze brakiem specjalnych opracowań poszczególnych dzieł, i poszczególnych zagadnień naszej filozofji. W ostatnich jednakże czasach, już po odzyskaniu niepodległości (i z pewnością, w znacznej mierze, dzięki jej odzyskaniu), raz po raz ukazują się takie opracowania specjalne, jak np. Roszkowskiego „Poglądy społeczne i ekonomiczne Augusta Cieszkowskiego", Józefa Ujejskiego „O cenę absolutu" (o Wrońskim), panny Rymarkiewiczówny „Pojęcie Boga w filozofji Libelta" i „Filozofja Libelta: epistemologja i filozofja przyrody", Stefana Kołaczkowskiego „Estetyka Kremera", Bohdana Chrzanowskiego „Podstawy logiczne Analityki Trentowskiego", Bolesława Gaweckiego „Filozofja teoretyczna Bolesława Prusa", Bogdana Suchodolskiego „Stanisław Brzozowski, rozwój ideologji".

Otóż do szeregu tych poważnych opracowań przybyła niedawno obszerne studjum ks. Michała Klepacza [1]).

Książka to niemałej wartości. Odznacza się przedewszystkiem doskonałym w swej jasności i przejrzystości układem, co na tem większe uznanie zasługuje, że jej treść jest bardzo bogata: autor bowiem nie poprzestał na wyjaśnieniu zagadnienia, uwydatnionego w tytule książki, to jest idei Boga jako centralnej idei historjozofji Cieszkowskiego, ale związał je umiejętnie z innemi problemami jego filozofji, a nadewszystko z jego metodami filozoficznemi. Nie dosyć na tem: każde zagadnienie i każdy pierwiastek metody umieścił na szeroko zakreślonem tle porównawczem, uwzględniając nadewszystko filozofję współczesną, ale czasem sięgając nawet w daleką przeszłość filozofji.

[1]) Ks. Dr. Michał Klepacz, Profesor Seminarjum Duchownego: „Idea Boga w historjozofji Augusta Cieszkowskiego na tle ówczesnych prądów umysłowych". Kielce, 1933.

Dzięki takiej metodzie filozofja Cieszkowskiego nie wisi w powietrzu, jako coś odosobnionego od gruntu filozofji powszechnej, ale przedstawia się nam jako jej organiczna cząstka, jako cegiełka, dorzucona do materjału, z którego powstał jeden z największych gmachów myśli ludzkiej, mianowicie myśli, działających nietylko z własnych pobudek, to znaczy z dążenia do prawdy i do wiedzy, ale także z popędu serca, głośno wołającego o wiarę religijną, i z rozkazu woli, która — świadomie, czy nieświadomie — domaga się idei Boga, jako niezbędnego warunku do pracy nad taką budową własnego i cudzego życia, żeby ono posiadało już nietylko nieprzemijającą wartość, ale wogóle jakikolwiek sens. Otóż to wołanie o wiarę w Boga, które, z pośród poetów polskich, epoki romantyzmu, najsilniej rozlegało się w duszy Mickiewicza, w duszy żadnego innego filozofa polskiego tej epoki nie było tak głośne, jak w duszy Cieszkowskiego, i nie wydało też drugiego tak obfitego i pięknego plonu, jak wspaniała księga „Ojcze Nasz".

Dlatego to właśnie, jak wolno sądzić, obrał sobie ks. Klepacz nie co innego za temat do swoich rozważań, tylko filozofję Cieszkowskiego. I dlatego właśnie są te rozważania nietylko gruntowne, jak przystało na studjum naukowe, ale nadto ożywione własnem uczuciem autora — mianowicie szczerą sympatją dla człowieka i myśliciela, który, rzec można, przez całe swoje życie szukał Pana Boga i który mocno wierzył w to, że Go znalazł.

Ta zaś sympatja autora na tem większe zasługuje uznanie, że się przecie idea Boga w historjozofji Cieszkowskiego niekoniecznie zgadza z ideą, jaką wypracował Kościół katolicki, a w której prawdę autor, jako ksiądz, mocno wierzy. Nie zataja tego bynajmniej — przeciwnie wykazuje szczegółowo różnice, zachodzące pomiędzy filozofją i wiarą Cieszkowskiego, a wiarą i nauką katolicką, i twierdzi, że Cieszkowski nieraz „zbacza na manowce" i że „nie tędy wiedzie droga w Krainę Prawdy". Czy w dziele naukowem z zakresu historji filozofji stwierdzanie czyjej nieprawowierności jest potrzebne, to inna sprawa: dosyć, że to stwierdzenie nie tylko nie ściągnęło ze strony autora gromów na głowę Cieszkowskiego (które huczą np. w „Polskiej filozofji religijnej wieku XIX" księdza Gabryla, albo w artykule księdza Pechnika), ale nic a nic nie przeszkodziło do spokojnego, wysoce bezstronnego oświetlenia całego jednego zagadnienia filozofji Cieszkowskiego. Otóż sympatja autora dla tego najszlachetniejszego ze szlachetnych myślicieli polskich tłumaczy się tem właśnie, że autor, obdarowany umysłem logicznym i uczciwością myśli zarówno, jak serca, a do tego szczerym zapałem naukowym, który ma to do siebie, że się przywiązuje do obranego tematu, — nie mógł i zapewne nie chciał tłumić swojego szacunku i uznania dla tak wielkiego wysiłku myśli i serca, jaki cechuje dzieło „Ojcze Nasz".

A pomimo to (raz jeszcze) monografja ks. Klepacza jest wysoce bezstronna, tem bezstronniejsza, że wykład i wyjaśnienie filozofji Cieszkowskiego przytłaczają swoją szczegółowością i wszechstronnością, sądy o jej wartościach religijnych.

Ostateczny wynik badań autora nad ideą Boga w historjozofji Cieszkowskiego jest taki, że nie był

on ani panteistą, ani teistą, tylko panenteistą. Etymologicznie rzecz biorąc, panenteizm oznacza: „wszystko w Bogu“. Innemi słowy: Bóg dla świata jest zarazem immanentny i transcendentny, czyli: świat jest częścią Boga, i wskutek tego Bóg żyje w nim, a on w Bogu (immanencja) i że zarazem Bóg przewyższa świat (jako Jego część) i całkowicie go obejmuje (transcendencja Boga). System ten więc jest jakby syntezą teizmu i panteizmu, monizmu (Bóg) z pluralizmem (świat). W takim też systemie Bóg nie staje się wcale sumą lub całością rzeczy. I właśnie sam Cieszkowski, chociaż nie wymienia tej nazwy, daje jednak do niej podstawę zarówno rzeczową, jak i częściowo nominalną. Mówi bowiem, że jego system „godzi w jedność spekulatywną: immanentność i transcendentność Boga“, „nieskończoność Boga i skończoność rzeczy stworzonych“. Zastrzega się ks. Klepacz, że, pomimo to, pogląd Cieszkowskiego na ideję Boga nie mieści się w panenteizmie bez reszty, ale słusznie twierdzi, że nazwa ta najbardziej odpowiada jego systemowi

Niektóre szczegóły tej pięknej książki niechaj wolno będzie zakwestjonować albo uzupełnić.

Czyż naprawdę „w żmudnym dziejowym pochodzie ludzkości ku swym wieczystym przeznaczeniom .. naród polski... nieraz wyprzedza inne ludy i państwa“? W przypiskach do tego poglądu (str. 12) autor podaje kilka dowodów, nie na wszystkie jednak można się zgodzić — np. na ten, że Witelon był Polakiem. Co do przodownictwa w filozofji autor powołuje się nie tylko na Struvego (który chociaż był uczonym niewątpliwie bardzo poważnym, nieraz przeceniał wartości myśli polskiej), ale także *(risum teneatis, amici?)* na Straszewskiego i, co jeszcze gorsza, na Kwiatkowskiego (dobrze przynajmniej, że nie na Wacława z Muttermilchów Mileskiego!).

Trudno się także zgodzić na to, żeby Rousseau swoją obroną praw człowieka wywołał „reakcję romantyczną przeciwko poglądom klasycznym“ (str. 49), a jeszcze trudniej na to, aby Novalis przyczynił się do tego, że w Niemczech powstał „mocny, choć płytki ruch romantyczny, znany pod nazwą *Sturm und Drang*“ (str. 57). Ależ, gdzie Krym, gdzie Rzym? Przecie ten „ruch romantyczny“ (a właściwie dopiero preromantyczny) skończył się w roku 1787, kiedy Novalis miał lat... piętnaście!

Nie tylko romantyzm polski, ale i niemiecki a nawet francuski, wierzył, że człowiek „gdyby swą wolę ścisnął, natężył i razem wyświecił, możeby sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił!“ (str. 185): wystarczy przypomnieć Novalisa i Alfreda de Vigny.

Cieszkowski, jak to słusznie pisze autor, „pomimo stwierdzenia, że duch jest nieśmiertelny, i to dzięki swej istocie“, mniemał jednak, że „nie wszyscy dostąpią tej nieśmiertelności“. Czy nie należałoby tutaj dodać, że później głosił podobny pogląd Struve w rozprawie „O nieśmiertelności duszy” (z czego szydził Edward Sulicki w swoim „Zarysie filozofji wiekuistej“)?

Co do nauki Cieszkowskiego o reinkarnacji (która dzisiaj ma w Polsce swego wyznawcę i apologetę w osobie Wincentego Lutosławskiego), to autor twierdzi i to bez zastrzeżeń, że nauka ta (podobnie jak „brak powszechnej nieśmiertelności, pogląd na czyściec, piekło, niebo“) „odbiega od tez chrześcijańskich“. Otóż tutaj warto jednak przytoczyć, co o wierze w reinkarnację mówi tej miary teolog i myśliciel, co ks. Franciszek Sawicki w swej niedawno wydanej książce „Dusza nowoczesnego człowieka, tło moralne i religijne akcji katolickiej”[1]): „Sądzę, że reinkarnacja i w tej postaci“ (to jest tak, jak ją pojmuje Lutosławski) „niezgodna jest z dogmatyką katolicką, ale dopóki Kościół wyraźnie jej nie potępił, nauka ta nie jest formalną herezją, lecz tylko *sententia haeresi proxima*“.

Mówiąc, że „panenteizm należał do najdawniejszych systemów”, że „poważne jego ślady znajdujemy u Plotyna i Jana Eriugeny” (str. 407), powinienby może był autor dodać, że panenteizm był wiarą niektórych myślicieli epoki odrodzenia, a przedewszystkiem Erazma z Rotterdamu, jak to wykazał Wilhelm Dilthey w swoich wspaniałych studjach o filozofji i religji tej epoki.

Żeby Krasiński przez „czynów stal” rozumiał poezję, jak mniema autor (str. 152), to zupełnie do prawdy niepodobne, jak i to, żeby Piotr Chmielowski był „później kantystą” (str. 14): ależ nie był nim nigdy, do samej śmierci, pomimo że na krótko przed śmiercią przełożył na język polski „Krytykę czystego rozumu”.

W literaturze przedmiotu, której znajomość i bezstronna ocena jest jedną z wielu zalet studjum ks. Klepacza, pominięto niektóre pozycje, jak oto: H. Boguskiego „Hegel i jego zwolennicy” (w „Przeglądzie Narodowym” 1911), Bogdana Suchodolskiego „Pokrewieństwo poglądów Cieszkowskiego, Trentowskiego i Euckena” (w „Przeglądzie Warszawskim” nr. 20), Anny Minkowskiej „Wpływ filozofji czynu A. Cieszkowskiego na działaczy okresu Paskiewicza” (komunikat, wygłoszony na Zjeździe historyków polskich w Poznaniu 1925), Emilji Bagieńskiej „Szkice i notatki” (Kijów 1917), profesora E. Jarry *„L'idea dell'assoluto nella filosofia giuridica polacca”* (Modena 1930).

Dodajmy przy sposobności, że bliższe jeszcze pokrewieństwo, niż z Euckenem (które wykazał Bogdan Suchodolski), łączy Cieszkowskiego z pewnym myślicielem belgijskim: jest nim Paul Gille, autor dzieła *„Esquisse d'une philosophie de la dignité humaine“* (Paryż 1924). To zwłaszcza, co mówi Gille o *„la socialité“*, bardzo żywo przypomina „socjalność” Cieszkowskiego, któryby niezawodnie i ten pogląd Gille'a bez wahania podpisał, że człowiek staje się jednocześnie coraz wolniejszym, a coraz bardziej świadomym swoich obowiązków społecznych: *„l'homme qui se possède vraiment, celui qui est vraiment homme, est à la fois personnel et social“* (str. 168).

Pisze ks. Klepacz nietylko jasno, ale i żywo, a miejscami obrazowo. Szkoda, że nie unika niektórych nowotworów, np. „światopogląd”, „zaistnieć“, „postulować”; jest naturalnie i modne „podejście” do przedmiotu (zamiast starego „ujęcia“ przedmiotu); jest także nieszczęsne „śledzić za czem” str. 92). Ale to wszystko — tylko wyjątki.

Jak monografję ks. Klepacza ocenią specjaliści, tego niżej podpisany nie wie, bo do nich nie należy. Pozwala sobie wszakże powiedzieć, że autor, który napisał tak gruntowne studjum, ma nietylko prawo, ale i święty obowiązek pracować nadal nad historją filozofji polskiej.

IGNACY CHRZANOWSKI

---

[1]) Poznań, Księg. Św. Wojciecha, bez roku (1931), str. 115.

NA WIDOWNI

„Obozy pracy“ — Ich wartość przy wykonywaniu wielkich robót publicznych. — „Państwo niewolnicze“. — Człowiek dla gospodarstwa, czy gospodarstwo dla człowieka?

„NOWY ŁAD”, czasopismo „poświęcone sprawom robotniczym”, w dwu ostatnich numerach bardzo ostro przeciwstawia się projektom t. zw. „obozów pracy”, już przygotowywanych jakoby przez czynniki rządowe, łączące z pomysłem tym nadzieję skuteczniejszego zapobieżenia wzrastającemu stale bezrobociu wśród warstw proletarjackich. Istotnie, zamierzenia powyższe — to *signum temporis*, nader znamienne dla niektórych popularnych prądów ideowych doby dzisiejszej, dla uzewnętrzniającego się w nich sposobu myślenia i ujmowania zagadnień życia jednostkowego i zbiorowego.

Czemże bowiem mógłby być w praktyce taki „obóz”, wedle wyobrażenia projektodawców? Oto:

„...ubiera się setkę lub tysiąc młodych ludzi, nie posiadających rodziny, w mundury, lokuje się ich w koszarach czy namiotach, każe im się wykonywać tę czy inną pracę, za którą otrzymują jedzenie, ów wspomniany drelichowy mundur i parę (dosłownie) groszy na tytoń“...

Zamiast dawania bezrobotnym zasiłku, bierze się ich w karby ścisłej bardzo, jakgdyby wojskowej organizacji, nakazuje się pracować, nie opłacając ich wprawdzie, ale bądź co bądź zabezpieczając jednostce wyżywienie, odzienie i dach nad głową. Perspektywa nie do pogardzenia dla wielu, zwłaszcza w okresie powiększającej się nędzy i głodu...

Zwolennicy projektu dowodzą, że posiadając robotnika niepłatnego, a ponosząc jedynie koszt jego utrzymania, państwo stanie się zdolne do podjęcia na wielką skalę robót publicznych, gigantycznych przesięwzięć, które przy innym jakimkolwiek systemie nie wytrzymałyby w żadnym razie normalnej kalkulacji gospodarczej. Argument wydaje się logiczny i docierający do sedna rzeczy. Wszak, przy innym sposobie organizacji, starożytny Egipt naprzykład z całą pewnością nie przeprowadziłby robót publicznych tak olbrzymich, wymagających nakładów tak poważnych, jak np. budowa piramid Cheopsa i Chefrena.

Ale właśnie, kiedy już w ten sposób się rozumuje, nie wypada wstydzić się wyrazu, nie mieć odwagi określić otwarcie i niedwuznacznie, do czego się dąży, jaki ustrój społeczno-gospodarczy chce się stworzyć albo — ściślej powiedziawszy — przywrócić. Znakomity pisarz angielski, Hilaire Belloc już w r. 1913 wydał książkę p. t. „Państwo niewolnicze“ („*The Servile State*“), stwierdzającą, jak dalece trwałą formą społeczną było w przeciągu tysiącleci niewolnictwo i wskazującą na zawarte we współczesnym industrjaliźmie i etatyźmie tendencje, konsekwentnie wiodące do jego wskrzeszenia[1]). W czem tkwi bowiem jedna z istotnych cech niewolnictwa? W tem niewątpliwie, że człowiek cały swój czas, wszystkie swoje możliwości twórcze oddaje bez ograniczeń we władzę drugiego, mając wzamian zabezpieczony byt materjalny (na niższej albo wyższej stopie życiowej). To zapewnienie zaspokojenia elementarnych potrzeb stanowiło bezsprzecznie jedną z dodatnich stron w położeniu starożytnego niewolnika, za tę cenę niejeden gotów był do wyrzeczenia się osobistej swobody, zaprzedania się panu, który go będzie utrzymywał.

Dziś, w stosunku do proletarjatu bezrobotnego proponuje się: zamknięcie w koszarach, wspólne życie pod rygorem, równym wojskowemu, przymusową pracę za łyżkę strawy. Ale i w stosunku do warstwy oświeconej postawa współczesnego industrjalizmu jest podobna. W ostatnich dniach słyszałem o interesującej rozmowie, jaką młody inżynier, ukończywszy właśnie politechnikę warszawską, prowadził z szefem któregoś z wielkich przedsiębiorstw przemysłowych na Śląsku: „Pan chce u nas posady?“ — usłyszał — „Owszem, owszem... Ale czy pan przypadkiem nie ma zamiłowania do jakiejś pracy społecznej, kulturalnej i t. p.? Nie chodzi nam o ten czy inny kierunek polityczny, bynajmniej... Tylko, uważa pan, nasz pracownik musi świata Bożego nie widzieć poza swojem zajęciem w fabryce, musi mu się poświęcić całą duszą, wyrzec się jakichkolwiek innych zainteresowań“...

Ustrój sowiecki, ze swoją ideą przymusu pracy, „upaństwowienia“ wszelkich dziedzin życia jednostkowego i zbiorowego wyraźnie całkiem do pewnych form starożytnego systemu niewolniczego nawiązuje[2]). Leży to zresztą w samej istocie poglądu socjalistycznego, że przyszły porządek wyobraża sobie, niby olbrzymią kasarnię, gdzie każdy człowiek jest żołnierzem armji wytwarzającej, którą stanowi państwo — komuna. Kiedy jednak przed kilkoma dniami widziałem w gazetach ilustracje, przedstawiające wielki, niby koszary potworne, „dom mieszkalny im. Karola Marxa“ w Wiedniu, dziś poważnie uszkodzony w ostatnich walkach, jeszcze raz uprzytomniłem sobie w sposób nieodparty, że ten świat, który wypowiedział się w owej budowli, dochodzi już swego kresu, że czasy nowe przyniosą z sobą inne zupełnie spojrzenie na rzecz, odmienny zgoła sposób myślenia.

Czasy nowe coraz wyraźniej potwierdzać będą prawdę, dzisiaj częstokroć zapominaną, że nie człowiek służy produkcji gospodarczej, ale gospodarstwo człowiekowi, a ta idea supremacji człowieczeństwa nad wytwórczością urzeczywistni się nie w jakimś systemie kasarnianym, ale, przeciwnie, w stworzeniu takiej zasadniczej przemiany ustroju ekonomiczno-społecznego, by jaknajwięcej mogło w nim być ludzi rzeczywiście niezależnych, pracujących na własny rachunek i na własnym warsztacie. Właśnie dlatego, że cel działalności gospodarczej stanowią dobra materjalne, nie można pracy tej ujmować w formy organizacyjne, wymagające od jednostki ludzkiej tego stopnia zapominania o sobie i wyrzeczenia, jakiego żądać wolno od niej jedynie w imię dóbr wyższego rzędu (wojsko, zakon). Ale tutaj już sprawa „obozów pracy“, podobnie jak ocena sowieckiego systemu socjalnego i jego wyników zahacza o zagadnienia ostateczne: pojmowanie celu życia ludzkiego na ziemi i płynącej stąd godności moralnej człowieczeństwa.

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) W drugiem wydaniu swojego dzieła, w r. 1927, autor dowodzi, iż okres powojenny silniej jeszcze uwydatnił wskazany w „Państwie niewolniczem“ kierunek rozwoju.

[2]) Interesujące dane na ten temat podaje np. książeczka księżnej Atholl: „*The truth about forced labour in Russia*“ („Prawda o pracy przymusowej w Rosji Sowieckiej“), z której sprawozdanie zamieszczone było w № 27 „Myśli Narod.“ z roku ubiegłego.

GŁOSY

ZGON KRÓLA ALBERTA I. Belgja, słynąca z niezależności duchowej oraz hartu moralnego swych synów, straciła teraz tego, który tych cnót narodowych był doskonałem uosobieniem. Tragiczny zgon króla Alberta okrył Belgję ciężką żałobą, a w całym świecie cywilizowanym wywołał uczucie szczerego żalu.

Zgodny to hołd dla tego, który, jako rycerz bez strachu i zmazy — był obrońcą nietylko własnego honoru, lecz także niezłomnym reprezentantem honoru swego narodu, w najkrytyczniejszym momencie jego dziejów.

Z trzech sławnych mężów (kardynał Mercier, burmistrz Brukseli Max, król Albert), którzy dali temu pełny, nieustraszony wyraz czasu wielkiej wojny, zmarłemu królowi-żołnierzowi może najcięższa i najodpowiedzialniejsza przypadła rola w okresie walki nieubłaganej o cześć i przyszłość swojego narodu.

Rolę tę pełnił król Albert do końca z niezachwianą mocą ducha. Bohaterski na polu bitwy, lojalny wobec sprzymierzeńców, całkowicie oddany sprawie wyzwolenia najechanej przez wrogów Ojczyzny.

Powrócił do niej po latach ofiary i wysiłków jako zwycięzca i triumfator, pozostał jednak tem, czem był zawsze: żołnierzem bez pychy, pierwszym sługą swego narodu. Czczony był wśród niego, podziwiany wśród innych.

OŚMIESZENIE SEJMU w oczach czytającej gazety publiczności osiągnęło także ten skutek, że nikt nie czyta sprawozdań z przemówień ministrów w sejmie. Nikogo nie interesują; uważa się je za najnudniejsze, urzędowe kawałki. Nie wywołują dyskusji prasowej, mijają bez echa. Wskutek tego nawet najdziwniejsze odezwania się nie wywołują oddźwięku. W sobotę dn. 10 lutego minister spraw wewnętrznych zwierzył się sejmowi ze swych pojęć o rasizmie i nacjonalizmie. „Ten typ walki jest z gruntu obcy duchowi dziejów naszego narodu" — zakonkludował. „Czyż nie stać nas na odnalezienie własnej indywidualności inaczej, niż przez zamykanie się w okopach doktryny rasizmu? Naszą siłą mocarstwową w przeszłości była zdolność współżycia i wciągania w krąg idei państwowej innych szczepów rasowych i narodowości. Byłoby zgubnem, gdybyśmy dzisiaj adoptować chcieli koncepcję rasizmu, która jest gdzieindziej wykładnikiem politycznej koncepcji ekspansji, podczas gdy u nas musiałaby prowadzić do wręcz odwrotnych rezultatów. Zarówno więc duch naszych dziejów, jak rozum polityczny, sprzeciwiają się przeszczepianie na grunt polski tych doktryn...". Widzimy, jak niechętnie odniósł się minister do idei zlikwidowania Judeopolski kulturalnej. Ci, którym idea ta leży na sercu, nie mogą polityki ministra obdarzyć zaufaniem. Ale chodzi nam tu o zaznaczenie czegoś innego. Minister wysunął argument przeciwko „rasizmowi". Argument zasadniczy i jedyny. „Koncepcja rasizmu... gdzieindziej jest wykładnikiem politycznej koncepcji ekspansji", „U nas musiałaby prowadzić do wręcz odwrotnych rezultatów". „Byłaby zgubna." Wiadomo dobrze, nietylko politykom, że Polska i Niemcy składają się z ludzi tego samego w większości typu fizycznego. Jeżeli „rasizm" dobry jest dla Niemiec, to na identycznej zasadzie dobry jest dla Polski; jeśli dla Niemiec może być podstawą politycznej „ekspansji", może być nią w równej mierze dla Polski. Ale czy rzeczywiście w Niemczech triumf „rasizmu" zbiegł się z powodzeniem nowej koncepcji ekspansji? Czy też właśnie silniej, niż kiedykolwiek w Niemczech, w dobie triumfu haseł rasizmu zaznaczyła się nowa, nacjonalistyczna chęć zamknięcia się w granicach swego własnego narodu i większego niż przedtem poszanowania narodów innych? Jak można z tak błędnych poglądów o „rasizmie" i „ekspansji" wysuwać zasady naczelne polityki wewnętrznej w państwie polskiem? Nic fałszywszego, niźli taki pozór argumentacji: „dlatego zgubne". Ale niemniej charakterystyczna była w przemówieniu rzecz inna. Bezczeszczenie dawnej Polski jest głównem zajęciem naszych historyków i polityków. Obrzuca się nasze dawne dzieje różnorakiem śmieciem. Potępia się brak wojen domowych w dawnej Polsce. Z ulgą obwieszcza się w pismach półurzędowych o „końcu Polski szlacheckiej". Zakłada się nowy porządek na nienawistnych w dawnej Rzeczypospolitej orderach. Podaje się do wierzenia, że największem nieszczęciem był brak silnej władzy. Wmawia się, iż państwo zginęło dlatego, że prawo jednakowo rozkazywało obywatelowi i królowi. Cały wysiłek kładzie się w to, żeby Nowe Państwo zbudować na biegunowo-odmiennych zasadach i wytępić ducha dawnej cywilizacji. Oto treść dążeń, wypełniających naszą współczesność; oto przewodnia myśl sanacyjnej polityki. I nagle odstępstwo: duch dawniej Polski wezwany na świadectwo, że potrzebne jest dziś Judeopolska. Wyklęty w polityce, obcy teraźniejszym porządkom, przywoływany serjo bywa tylko, kiedy mowa o żydach... Zaiste, w ścisłych granicach zamyka się dziś kult dawnej Polski... Kiedyż wybawiona zostanie z poniżenia?

PATRZĄCYM NA ŻYCIE WARSZAWSKIE w pewnych kierunkach coraz trudniej będzie dostrzec objawy kryzysu. Przeciwnie, mnożyć się będą niezawodnie oznaki powracającego dobrobytu. Z życia wyczytać będzie można ten sam morał, co z drukowanych w prasie sanacyjnej artykułów o przezwyciężeniu kryzysu. Tak dodatni i gospodarczo doniosły będzie niewątpliwie skutek utworzenia elity pensyj. Przedział między ubogimi i zamożnymi w społeczeństwie pogłębił się wydatnie. Niema mowy o tem, aby zmniejszyć się mógł teraz popyt na wyroby luksusowe. Właściciele dancingów i wytworniejszych lokali rozrywki nocnej mogą spokojnie patrzeć w przyszłość. Z pewnością też nie zabraknie na bruku warszawskim sporej liczby optymistycznych, dobrze odżywionych i dostatnio ubranych osobników, niebardzo dobrze wiedzących, co robić z pieniędzmi i czasem. Spojrzawszy na nich, każdej chwili przekonać się będzie można o tem, jak niecnym wymysłem jest plotka, że Polska nie potrafi dać sobie rady z kryzysem. Żywe zadowolenie, bijące z różowych twarzy, najwymowniej zada kłam takim oszczerstwom. Elita pensyj stanowić będzie bezwarunkowo jedną z propagandowych ozdób kraju, chroniąc jednocześnie liczne dziedziny gospodarczego życia od zamarcia. Któż teraz potrafi sobie wyobrazić zastój

w handlu wytwornemi artykułami kosmetycznemi, albo skórzanemi przyborami podróżnemi, albo droższą konfekcją męską? Któż przypuszcza, że ścichnąć mógłby szmer, zgiełk, szwargot, i wszystkie inne odgłosy dobrej zabawy w najelegantszych restauracjach stolicy? Napewno nie zanosi się na to. Ustanowienie wyraźnej elity pensyj i w innych także dziedzinach niechybnie będzie miało swój skutek. Artyści, być może, po dawnemu będą narzekali na ciężkie czasy, ale tylko ci artyści, którzy w twórczości swej nie potrafią czy nie zechcą obrotnie zdążać za modą. Artykuły sztuki modnej prawdopodobnie cieszyć się będą większem, niż dotąd, powodzeniem, zwłaszcza artykuły w złym smaku. Zrobiła się wyjątkowo dobra konjunktura na zbyt rzeczy wulgarnych i drogich. Przemeblowanie mieszkań, ozdobienie wnętrz nanowo i wszystkie nakłady reprezentacyjne, związane ze wstąpieniem w powtórne związki małżeńskie (członek elity, wraz z poprawą położenia finansowego, z reguły zmienia żonę) — muszą wywołać pożądany ruch w przemyśle artystycznym gorszego gatunku. Przypadkiem zresztą mogą być też kupowane rzeczy dobre. Nie należy lekkomyślnie ograniczać wszystkich możliwych perspektyw poprawy gospodarczej. Przesadą wprawdzie byłoby oczekiwać np. zwiększonej frekwencji na koncertach wartościowej muzyki, albo większego odtąd popytu na książki. Nie, nie — ale więcej przypuszczalnie sprzedawać się będzie zato lamp radjowych i ulepszonych głośników. Radjo idealnie odpowiada kulturze umysłowej elity. Wszystko zapowiada, że przyjaźnić się z nią będzie coraz serdeczniej, odwzajemniając się za poparcie stosownemi komunikatami o pomyślnem, skutecznem, jedynem w swoim rodzaju przezwyciężaniu kryzysu w Polsce.

NAUKA I LITERATURA

„PROSTO Z MOSTU"

MŁODE pokolenie literackie, które posiada zdecydowaną ideologię społeczną lub polityczną, konkretny pogląd na życie, które posiada wyraźnie określone ideały — odznacza się szczerością, uczciwością i bezkompromisowością w wypowiadaniu swego poglądu na przejawy bieżącego życia[1]). Objaw ten obserwować można u pisarzy rozmaitych poglądów politycznych i społecznych — i objaw ten jest zjawiskiem krzepiącem i pocieszającem, świadczy o zdrowiu moralnem młodych, jest jasną plamą na tle rozwielmożnionego oportunizmu, jest znakiem, że niski poziom moralny, wytworzony wojną i jej skutkami, się podnosi. Ruch wszczęty przez młodych wnosi świeże powiewy w stęchłą atmosferę, wytwarza porozumienie tam, gdzieby się tego najmniej spodziewać można.

Siłą młodych jest wiara w słuszność ich ideałów i poczynań — a ich poczynania, to już nie poszukiwania, błąkanie się z przypadkowem natrafianiem na właściwą drogę, to zupełnie świadome dążenie w ustalonym kierunku, dążenie do zerwania z zabójczą banalnością i indyferentyzmem, to walka z szablonem, z bonzami, z urojonemi wielkościami, to śmiałe wypowiadanie swego *credo* i żądanie respektu dla swych poglądów.

Pozytywne rezultaty, jakiemi się młodzi poszczycić mogą, wypływają nie z zerwania z tradycją, a przeciwnie z oparcia się o to, co zdrowego w tradycji, nie z burzenia tylko, ale ze stawiania na miejsce zburzonego czegoś nowego, pozytywnego, więc nie z negacji samej, ale właśnie ze wskazania innego konkretu. Nie jest to typowy bunt młodych przeciw starym, nie walka generacyj, bo młodzi ideowcy ścierają się niemniej ostro z młodymi bezideowcami. Jest to walka o nawrót do najgłębszych podstaw współżycia ludzkiego, walka o szacunek dla prostoty, szczerości, uczciwości, rycerskości — tych cnót, które czasy powojenne odstawiły, jako rupiecie, do lamusa. Ideały te, przeniesione na grunt literacki, wyrażają się w walce z napuszonością, beztreściowością, amoralnością, bezmyślnością współczesnej literatury, współczesnych kryterjów, wyrażają się w walce z frazesem, oportunistycznym kompromisem, w walce z importowanemi bezsensownemi błyskotkami z zachodu czy wschodu, w walce z brakiem oryginalności: więc plagjatem, niewolniczem kopjowaniem wzorów zagranicznych[2]) z bezdusznością, płaskością myśli, bizantynizmem.

Walczą o pisarza, który rzeczywiście ma coś do powiedzenia, którego utwór jest wypływem własnych uczuć czy odczuć, przemyślenia gruntownego, walczą o pisarza o niesfałszowanym humanitaryzmie, dbałego o oryginalność myśli i formy, o pisarza, który wzbogaca życie duchowe swej społeczności, który się czuje zespolony ściśle ze swym narodem, korzeniami w nim tkwi. Idzie walka o pisarza, który odważnie i jasno odsłania swą przyłbicę („Mecenas Skiwski"), który się nie zasłania niedomówieniami i toczy się walka z płaskiem schlebianiem gustowi niewybrednej publiczności, z taką literaturą, która lekceważy potrzeby duchowe swego narodu.

Takich bojowników znajdujemy dziś już na wielu frontach: w powieściopisarstwie, w poezji (Sztaudyngera: „Rzeź na Parnasie"), w publicystyce różnych odcieni partyjnych. Do takich bojowników należy też Stanisław Piasecki, jeden z najciekawszych publicystów współczesnych w Polsce, zdolny krytyk, przenikliwy znawca literatury, pełen świeżej inicjatywy i rozmachu. To też u niego bardzo widocznie występują wszystkie zalety młodych bojowników o „nowy styl", ale i o nową treść. Piasecki nie owija w bawełnę, rżnie istotnie „prosto z mostu", myśli samodzielnie i umie swe myśli ubrać w interesującą szatę, w świeże, mocne słowa. Piaseckiego cechuje rzadko u nas spotykana odwaga w wypowiadaniu swoich poglądów, swego wyznania wiary i, co ważniejsza, niema u niego ciasnoty partykularza. Umie uznać piękno i dobro wszędzie tam, gdzie ono jest, każdy rzetelny i szczery wysiłek, skądkolwiekby pochodził. Nie obawia się osamotnienia i stanie jeden naprzeciw wszystkim, gdy trzeba („Podróż bez hamulców" — o książce Céline'a), przeciw uznanym i sławnym autorytetom zagranicą i w kraju.

Jeśli czuje słuszność w swem sumieniu pisarza, umie wystąpić gwałtownie i z pasją, nie liczy się z niczem, bez obawy o to, jakie konsekwencje dla niego wywołać może takie wystąpienie („Poezja marki Staff" — artykuł, który spowodował ostrą odpowiedź Tuwima, „Bonzownictwo" — o Berencie). Ale z tą samą pasją umie się upomnieć o „wielką krzywdę", jaką krytyka literacka wyrządziła Perzyńskiemu, jednemu z najlepszych powieściopisarzy współczesnych, który „umie tak pisać, jak się mówi" i który za to właśnie doczekał się reprymendy od pani Krzywickiej, gdy za to samo Céline'a, jako obcą znakomitość, spotkała pochwała.

Zagadnienia literackie, szczególnie współczesnej literatury polskiej, które Piasecki ujął pod wspólnym tytułem „Dzisiejszość literacka", należą bezsprzecznie do najlepiej przemyślanych i najoryginalniej napisanych krytyk, jakie nam się czytać zdarzyło w ostatnich czasach. Świeżość i oryginalność w ujmowaniu, śmiała i trafna synteza, jasność i szczerość w przedstawieniu tych zagadnień — oto zalety artykułów na temat wybitnych książek ubiegłego przedewszystkiem roku (Choromańskiego, Szpotańskiego, Dąbrowskiej, Wołoszynowskiego, Parandowskiego, Goetla, Gojawiczyńskiej, Boguszewskiej i in.).

[1]) Stanisław Piasecki: „Prosto z mostu". Tow. wyd. „Rój" — Warszawa 1934. Str. 223.

[2]) I tu spotykają się z niektórymi bojownikami starszego pokolenia o te same ideały (por. Irzykowski: „Słoń wśród porcelany").

Krytyki te są wybitnie konstruktywne, natomiast ton polemiczny dominuje w następnych dwu cyklach artykułów: „Pion“ i „Walki“.

Piasecki okazuje się tutaj szermierzem nielada, tu występuje w walce o ideały młodego pokolenia, w walce z „indyferentyzmem ideowym“ („Mecenas Skiwski“), z amoralnością („Zuzie maszerują“), z boy'izmem („Szpila w Zielony Balonik“), z niezdrową i szkodliwą sensacyjnością (cykl artykułów o otruciu Mickiewicza), w walce z „dziadowaniem“ literackiem, przeciwstawiając swój pogląd, stawiając na miejsce zwalczanych idej zupełnie określone, własne postulaty. I to właśnie jest główną zaletą tego zbioru, że autor nie ogranicza się do negacji samej. Ale to właśnie uważać się będzie za moralizowanie i ton kaznodziejski, którego w istocie niema. Kto krytykuje ma nietylko prawo, ale i obowiązek jasno powiedzieć, czego się domaga na miejsce zwalczonych poglądów.

Tom szkiców i artykułów Piaseckiego daje doskonały pogląd na to, co się najciekawszego wydarzyło na terenie literackim w ostatnich czasach, jest lekturą nietylko bardzo pożyteczną, ale wysoce interesującą i miłą, stanowi zapowiedź świeżego powiewu w życiu naszej literatury.

A. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jako czwarty tomik Bibljoteki „Wici Wielkopolskich“ pojawiła się interesująca praca prof. A. Szyperskiego p.t. „Geografja talentów wielkopolskich“, poprzednio partjami drukowana w miesięczniku regjonalnym „Wici Wielkopolskie“. Praca ta obala uporczywie kolportowaną legendę o akulturalnem nastawieniu Wielkopolski. Autor ustala, że dorobek kulturalny, dorobek Wielkopolski w dziedzinie ducha był i jest bardzo znaczny, że Wielkopolska ustępuje jedynie województwu lwowskiemu, krakowskiemu i Warszawie. Do świetnych rezultatów dochodzili Wielkopolanie w dziedzinie filozofji, historji i nauk przyrodniczych. Ale i na polu czysto literackiem poszczycić się mogą kilkudziesięcioma niepoślednimi poetami, powieściopisarzami, publicystami. Najwięcej „talentów“ wydały najstarsze ziemie polskie: Kujawy, okolice Gniezna i Poznania, najmniej jest ich oczywiście na kresach, na granicy niemieckiej. Bardzo ciekawe są wywody autora o węzłach, jakie łączyły Wielkopolskę z poszczególnemi stolicami Polski: z Krakowem, Wilnem, Lwowem i Warszawą. Bardzoby się przydało rozszerzenie tej pracy do obszerniejszej monografji, z uwzględnieniem wszystkich przejawów kulturalnych (autor rozmyślnie część pominął) i z uzupełnieniem o szereg brakujących nazwisk, o szczegółowszą charakterystykę „talentów“, które tylko wyliczono. Praca jednakże nawet i w tej formie jest bardzo ciekawa i pożyteczna. (A. J).

*

Zbiorek poezyj Włodzimierza Żelechowskiego p.t. „W cieniu sztolni i kominów“ jest pierwszą szczęśliwą próbą upoetyzowania Śląska Czarnego. To, co się Fierli w „Kopalni słonecznej“ zupełnie nie udało, udało się Żelechowskiemu, choć połowicznie. Żelechowski znacznie ostrożniej przystąpił do tematów o kopalni i górnikach, zdawał sobie sprawę z granic swych możliwości, stąd ograniczył się do kilku dość zręcznie ujętych obrazków z kopalni, pracy górników, obrazków, ktore nie wymagały zżycia się z kopalnią—by je oddać przekonywająco. Lepiej bez porównania wypadły wiersze o hutach. Nie tylko, że poszczególne tematy są dobrze odczute, ale kolorystycznie oddane po malarsku (ojcem Żelechowskiego jest znany malarz krakowski), bez silenia się na jaskrawe efekty, bez „niezrozumialstwa“, które tak przykrą czyni lekturę współczesnej poezji. W porównaniu z poprzedniem zbiorem poezyj („Struny Świata“) nowy tomik stanowi znaczny postęp. Śląsk pomógł Żelechowskiemu w wydobyciu z siebie poety. (A. J.)

TEATR

„MARJA STUART“

TEATR Narodowy wystawił „Marję Stuart“ Schillera. Głównym powabem tego widowiska jest arcydzielny przekład Stanisława Miłaszewskiego. Fragment owego przekładu ogłosiła przed paru tygodniami (nr. 5) „Myśl Narodowa“, więc o mistrzostwie, z jakiem został dokonany, czytelnicy naszego pisma mają niejakie pojęcie. Żeby jednak w pełni owym przekładem się rozkoszować, trzeba go koniecznie usłyszeć ze sceny. Jest to bowiem wiersz napisany specjalnie do głośnej, patetycznej, publicznej recytacji, nie zaś do lektury kontemplacyjnej. Aczkolwiek sprawia rozkosz nawet w czytaniu cichem, to jednak delektujemy się nim w całej pełni dopiero wówczas, gdy go słuchamy gromadnie, gdy czujemy, że wzrusza on i zachwyca nietylko nas samych, ale również mnogą rzeszę współsłuchaczy. Świeżość tego wiersza imponuje i zadziwia. Polszczyzna—język przecież znany i powszedni—objawia się nam w nowych i niespodziewanych urokach. Raz po raz elektryzują naszą wrażliwość świeżutkie, nieużyte dotychczas przez nikogo assonanse'a nawet rymy zupełnie dziewicze (np. wszystkiej — papistki, nitce — jezuitce etc.). Nowości te *notabene* pysznie są sharmonizowane z jędrnemi lokucjami odwiecznemi. Nigdzie się z niemi nie kłócą. Jest to wiersz pod względem jednolitości stylu nieskazitelny, co nie zawsze można powiedzieć np. o scenicznym wierszu Wyspiańskiego.

Do tekstu Szyllerowskiego „Marji Stuart“ Miłaszewski ustosunkował się podobnie, jak Wyspiański do tekstu „Cyda“ Kornelowego i jak Mickiewicz do tekstu Szyllerowskiej „Rękawiczki“. Wzgardziwszy dosłownością—dał odpowiednik poetycki, obcinając dłużyzny, ujędrniając i zaostrzając *pointe*'y, wkładając w robotę mnóstwo twórczości własnej i własnego uczucia. Dzięki osobistej poezji Miłaszewskiego utwór Szyllera pozyskał zupełnie nowe walory. Został niewątpliwie ulepszony. Stał się ponadto klejnotem literatury polskiej, podobnie jak nim został np. Kalderorowski „Książe Niezłomny“, dzięki transkrypcji Słowackiego. Włożenie w usta umierającego Mortimera słów: „Pod Twoją Obronę“.. jest pomysłem genjalnym. Scena ta, sprawiająca w przekładzie dawniejszym wrażenie melodramatyczne (obciążona efektem markowanego samobójstwa przy pomocy sztyletu), została przez Miłaszewskiego dźwignięta na wyżyuę dostojnego tragizmu. Gdy pan Sawan po udawanem przebiciu się błyszczącym rekwizytem pada na schody w kunsztownej pozie — ogarnia nas niepokój, że czar poezji gotów w tej chwili prysnąć. Ale Sawan przed skonaniem wygłasza (znakomicie) jeszcze parę wierszy. I te wiersze ocalają wszystko. Dzięki nim scena jego śmierci staje się jedną z najwznioślejszych i najgłębiej wzruszających w sztuce.

Przekład Miłaszewskiego, zanim zachwycił widzów, oczarował wykonawców widowiska. Widać, że wszyscy aktorzy, biorący udział w przedstawieniu, wygłaszają te cudne wiersze z rozkoszą, że się niemi delektują i przejmują do głębi duszy. Wszyscy, począwczy od Malickiej (Marja), Pancewiczowej (Elżbieta), Leszczyńskiego (Leicester), a skończywszy na wykonawcach ról najdrobniejszych, włożyli w przedstawienie *maximum* wysiłku. Z tego powodu wszyscy w równym stopniu zasługują na najgorętsze komplementy. Zasługuje również na nie reżyser, p. Borowski, aczkolwiek wolelibyśmy, żeby scena Komunji w szóstym obrazie potraktowana została dyskretniej, mniej realistycznie.

Gdy po cudownej scenie spowiedzi—kapłan wydobywa Hostję mszalną, czujemy się na krześle przez chwilę bardzo niewygodnie.

Nie klękamy, ponieważ uświadamiamy sobie błyskawicznie, że hostja nie jest konsekrowana, że Komunja odbywa się „na niby“.

Ale uświadomienie sobie tego faktu jest dla wrażenia szkodliwe. W tem miejscu bowiem właśnie, dzięki owemu uświadomieniu—ułuda pryska.

Bardzo łatwo to naprawić. Wystarczy opłatek zasłonić osobą spowiednika, a czar zostanie ocalony.

Na szczęście wkrótce następuje wspaniała scena pożegnania Marji z przyjaciółmi, służbą i Leicesterem. Malicka oczarowuje nas ponownie i usterkę reżyserską wybaczamy panu Borowskiemu bardzo chętnie. Jesteśmy mu bardzo

wdzięczni za znakomite zainscenizowanie zakończenia tego obrazu i w pełni oceniamy jego zasługi w inscenizacji obrazów poprzednich. Znakomite wyćwiczenie zespołu aktorskiego — jego jest przecież przedewszystkiem dziełem. „Marja Stuart" pozostanie jedną z najchlubniejszych kart działalności tego bardzo utalentowanego reżysera, który włożył w inscenizację tej tragedji bardzo dużo dobrego smaku, pomysłowości i chwalebnej pilności.

Wystawa wspaniała.

Kostjumy śliczne.

Widowisko budzi w widzach dawno nieobserwowany w warszawskich teatrach entuzjazm.

Sala słucha wierszy Miłaszewskiego i podziwia grę aktorów w religijnem niemal skupieniu, dając wyraz swemu zachwytowi po każdem zapadnięciu kurtyny burzliwemi wybuchami długotrwałych oklasków.

Najwięcej tych oklasków pada po wspaniałej scenie parkowej, w której Malicka i Pancewiczowa wznoszą się na bardzo wysoki poziom gry aktorskiej, następnie po scenie śmierci Mortimera, po omdleniu Leicestera i po ostatniej scenie. Scena pożegnania Marji ze służebnemi i z Leicesterem wzrusza widzów najmocniej. Niejedne oczy na premjerze zalśniły podczas tej sceny łzami.

W sumie—„Marję Stuart" uznać należy za jedno z najpiękniejszych przedstawień, jakie w Teatrze Narodowym mieliśmy kiedykolwiek okazję oglądać.

Wszystko zdaje się wróżyć temu widowisku bardzo długie powodzenie.

G.

MIT O KRÓLU ZAPAŁCZANYM

DLA teatru Letniego w Warszawie napisał autor „*Freulein Doctor*", p. Tepa widowiskową legendę o Kreugerze, słynnym rozbójniku z wyżyn międzynarodowego kapitału. Dawniej fantazja ludu pożądała legend o Janosiku, Doboszu, Ondraszku; teraz dla ludu, spekulującego akcjami i dolarami, trzeba pisać legendy o Kreugerach i Stawisky'ch.

Nasz autor powziął myśl wyidealizowania Kreugera. Był to romantyk kapitalizmu, człowiek wielkiej głowy i wielkiego serca. Genjusz jego graniczył z obłąkaniem wskutek choroby nerwowej. Czując swój koniec, bohater wynalazł dla siebie sobowtóra, zataił go narazie, poduczył, wprowadził w arkana swych robót i, gdy nadeszła choroba, ów sobowtór go zastąpił. On to popełniał oszustwa, ale tamten bohater pozostanie czysty w legendzie. Zresztą żyje dotąd; sobowtór skończył samobójstwem. Kreuger wyzdrowieje i da się jeszcze poznać.

W lokalach giełdowych, kartelowych, bankowych ukażą się pewno niezadługo na ścianach malowidła, przedstawiające Janosika Kreugera w apoteozie, futuryści pisać będą ballady. Sztuka p. Tepy należy do rodzaju, który się nazywa „reportaż fotomontażowy". Scena podzielona na sekcje, ciemna, choć oko wykól, a reflektor pokazuje kawałki z ludźmi. Fortepian gdzieś po ciemku wygrywa utwory p. Makłakiewicza, czego na scenie nikt nie słyszy, prócz Kreugera, bo to są jego halucynacje słuchowe (udzielające się publiczności). W jaskini tej jest i dziewczyna (każdy Janosik ma kochankę), no i zbójcy w postaci dyrektorów biur kartelowych.

Janosika gra p. Węgrzyn i to podwójnie, bo i sobowtóra. Nic dziwnego, że kochanka nie rozumie, dlaczego miałaby iść w stan spoczynku.

Publiczność tłumnie dąży do teatru w Saskim ogrodzie, zwłaszcza od Żelaznej Bramy i Żabiej.

W.

ZE ŚWIATA SZTUKI

PO DOBREJ wystawie Drabika Zachęta wystąpiła z pomysłem nienajszczęśliwszym: zorganizowania konkursu na „najpiękniejszy portret kobiecy".

Można namalować pięknie portret brzydkiej, w potocznem rozumieniu, osoby, z drugiej strony kiepsko namalowana podobizna ładnej pani nie może, tylko z tego tytułu, pretendować do miana pięknego portretu. W nazwie konkursu Zachęta nie ujawniła swego stanowiska w tej sprawie, z wielu dzieł wystawionych widać jednak, iż więcej pamiętano o kobietach, aniżeli obrazach.

Konkurs zestał obesłany skromnie, niejeden artysta dał rzecz słabszą, niż zazwyczaj. Najgorzej z zawodowymi portrecistami pięknych dam. Ci już nie myślą o niczem innem, tylko o dogodzeniu klijentce, mają swoje szablony żurnalowych paluszków, smukłych nóżek i robią rzeczy zręczne, lecz gatunkowo nieraz b. tandetne. Portret osoby, często krępującej malarza wymaganiami natury nieartystycznej, nie należy oczywiście do najprzyjemniejszych zadań plastyka. Skrępowany najbardziej, powinien jednak artysta zachować poziom solidnej poprawności. W ten sposób, nie mając pola do wykazania inwencji twórczej, zadośćuczyni przynajmniej rzetelności artystycznej.

Niestety, połowa wystawionych płócien grzeszy i w tym względzie. Trzeba dodać, że temat, właśnie przez swoją „wdzięczność", jest często dla kulturalniejszych malarzy wyjątkowo niewdzięczny. Musi być zrównoważony wielu zaletami pendzla, w przeciwnym razie powstanie „główka" na bombonierkę z czekoladkami. To też pomysł Zachęty, zorganizowanie takiego konkursu: należy uznać za eksperyment conajmniej ryzykowny, tembardziej, że w głosowaniu ma brać udział publiczność, zwiedzająca wystawę.

Lepiej przedstawiają się portrety artystów, traktujących ten temat jako jedno — między innemi — ze swych zadań malarskich. Nie żonglując łatwemi do osiągnięcia efekcikami zawodowych portrecistów pięknych pań, wykazują większą szczerość artysty w stosunku do modela i troskę poważniejszą o walory plastyczne. Do lepszych zaliczyć wypadnie prace: Bunscha, W. Piotrowskiego, Grabarza, Trautmana, Teodorowicz-Karpowskiej. Dobra praca Bielawskiego więcej jest obrazem, niż portretem: w takiem ujęciu twarz staje się jednym z wielu szczegółów, a w portrecie, bez względu na rodzaj rozwiązania, musi być głównym akcentem.

Pozatem ze zbiorową wystawą wystąpił Stanisław Zawadzki, malarz na terenie Zachęty b. dobrze znany, obecnie członek jej komitetu. Ponieważ wystawa wieńczy 35-lecie pracy artystycznej, przytaczam kilka dat i faktów z życia malarza. Zawadzki urodził się 1878 r. w Warszawie. Tu studjował u Gersona, potem w Krakowie, pod kierunkiem Jacka Malczewskiego, 2 lata, następnie w Monachjum, skąd przysyła pierwsze samodzielne prace na wystawę w Zachęcie.

Artyście, nie bez zdolności i wyraźnych, acz nie nowatorskich aspiracyj kolorystycznch, niedostaje kultury, zarówno tej malarskiej, jak i w szerszem znaczeniu słowa — artystycznej, co w najbardzej rażący sposób ujawnia się w kompozycjach.

Drugą grupę jego prac stanowią niezliczone studja mniej lub więcej obnażonych panienek, i tu malarz często w bardzo brzydki sposób apeluje do zainteresowań widza, niekoniecznie natury artystycznej. Trzecia wreszcie grupa składa się z portretów, kobiecych i męskich. Niektóre podobizny, zwłaszcza panów, osiągają wyższy od innych prac artysty poziom i utrzymane są rozmyślnie w duchu spatynowanej staroświecczyzny.

Kolekcje prac obu akwarelistów: Nartowskiego i Nehringa skłaniają do uwag podobnych. Obaj artyści opanowali trudną sztukę akwareli w zupełności i powinni teraz cały swój wysiłek skupić na pogłębianiu wizji artystycznej: w zakresie kompozycji, ujęcia i wyboru (punkt widzenia) odtwarzanego tematu. Najlepsze obrazy obu malarzy zdają się już świadczyć o tych pragnieniach, tylko ich liczba, jak dotychczas, jest zbyt mała w zestawieniu z innemi.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

TEATR WIELKI: *„Johnny spielt auf"*, opera Ernesta Krencka.

Przyznam się, że już wolę ten tytuł niemiecki, aniżeli polską jego przeróbkę, która ma przywabiać do teatru publiczność wielkiemi i krzykliwemi afiszami. Przeróbka ta brzmi: „Jazzband, murzyn i kobiety". Nie mogę się oprzeć upokarzajacemu wrażeniu.

Przypomniał mi się inny afisz. Akurat w jubileuszowym roku stuletniego istnienia Teatru Wielkiego. Usiłował on także wabić czerwonemi, natrętnemi literami. Oznajmiał: „W operze operetka!" Liczył na zysk. Ktoś powie, że zysk ratujący przed nędzą. Wierzę, ale sytuacja nie usprawiedliwia środków takich, jak obniżenie poziomu teatru do rzekomo nizkiego poziomu publiczności. Trudno, ażeby teatry zamieniły się na towarzystwa dobroczynności... Inne mają zadania. Operetka nie uratuje opery, a skutek jest taki, że już jej przylepiła pewną markę, której trudno będzie się pozbyć. Słowem, linja ta, którą sobie Opera (i nie tylko ona) obrała, nie wiedzie do zamierzonego celu. Doświadczenie jeszcze nie nauczyło. Nakazuje ono przedewszystkiem dobry repertuar. A tu tymczasem znowu: jazband, murzyn i kobiety...

Sztuka ta jednak wymaga omówienia, ma ona bowiem charakter symptomatyczny.

Nie wiem, czy to jest *Zeitsatyr*, podobnie jak „Skok przez cień", inna z licznych oper Krencka, wyraźnie tak przez kompozytora nazwana, czy też zachłystywanie się nowoczesnością. W każdym wypadku nie mogę zrozumieć jej triumfalnego podboju niemal wszystkich scen operowych. Było to (wyraźnie było, a nie jest) doprawdy znakiem czasu. Przeciwstawienie się rutynie i starym szablonom oraz wniesienie, śmiałe, przyznać trzeba, nowych wartości, potraktować można jako propozycje. Jedne przyjąć, drugie odrzucić, chociaż w sumie eksperyment uznać musimy za nieudany. Ale, czy tylko dlatego, że eksperyment, wystawiać? Skąd ta nagła pochopność naszej opery do doświadczeń scenicznych? Proszę, może się jeszcze czego nowego doczekamy...

Tymczasem jazzband, murzyn — nic nowego. Nawet tych zapowiedzianych kobiet nie tak wiele, chyba, że w finale. (Przyjmijmy najstosowniejszy tu język rewji).

Zdaje się, że w tym swoim pochodzie „Johnny" nie dotarł do scen sowieckich, a jednak tam jedynie miałby on rację grywania, oczywiście z bolszewickiego punktu widzenia. Czy zawiera pierwiastki agitacyjne o charakterze komunistycznym? Nie. Ale bolszewicy lubią czasami pokazywać dokumenty, dobitnie świadczące o burżuazji. W tym wypadku nie trzebaby było nawet przemówienia agitacyjnego: opera Krencka jest dużem oskarżeniem tego świata, wywodzącego się z sybarytyzmu i dobrobytu amerykańskiego, który wygłodzonej wojną Europie zdołał na krótko zaimponować, tego stylu i złego smaku, nanoszonego nam do tej pory przez filmy.

Czy oskarżeniem słusznem? Ależ świadczy o tem ten doprawdy „imponujący" triumf, w jakim obiegła ona świat cały! Tak, prawda, ale to była jedna chwila. Od tamtego czasu minęło zaledwie kilka lat, i tyle się zmieniło, że sami możemy patrzeć dzisiaj na „Johnny" jako na przedstawienie charakteryzujące już pewną epokę. I pod tym kątem, gdybyśmy posiadali za dużo pieniędzy, moglibyśmy sobie pozwolić na wystawienie tej opery. Ale nie łudźmy się, „Johnny" usiłuje wtargnąć jako nowość, jako atrakcja. Świadczy o tem naiwna przeróbka tytułu. Mam uczucie, że się znajduję na głębokiej prowincji.

Rzecz charakterystyczna, że reżyserował to wszystko Freszel. Jest taki w operze. Zasadniczo śpiewak. Tu go wyraźnie poniósł „nowy" pęd, że aż zebrał oklaski. Żydzi mają nieszczęście przyczepiać sobie żółte łaty tandetnie zrozumianej nowoczesności: samo to już ich odróżnia.

Widziałem nową książkę. Tytuł brzmi: „Niemcy cofają wskazówki zegara". Prawda, cofają ciągle i świadomie, aż im wskażą prawdziwie nową godzinę. Tragedją żydów jest, że ich zegar, doszedłszy pewnej godziny, stanął i ani o sekundę nie może już i bodaj nie będzie mógł się posunąć.

„Johnny" i jego inscenizator spóźnili się o pięć lat.

*

Towarzystwo *Alliance Française* w Warszawie zorganizowało cykl koncertów muzyki francuskiej. Pomysł, któremu należy szczerze przyklasnąć. Szkoda tylko, że koncerty te odbywają się w Sali Instytutu Propagandy Sztuki, nie wiem dlaczego podzielonej na dwie części, skutkiem czego odczuwa się naprawdę męczące przepełnienie.

Pierwsza audycja odbyła się we wtorek 20-go lutego i zawierała szereg utworów na klawesyn (Lully, Couperin, Rameau, d'Agincourt), odegranych przez p. Janinę Ochlewską, pieśni (Lully, Rameau, Duni, Duparc, Chausson, Franck, oraz autor nieznany z wieku XVII-go), odśpiewanych przez p. Stanisławę Korwin-Szymanowską, wreszcie *quintet* Francka w wykonaniu p. Dubiskiej, Adamskiej, Drzewieckiego, Ochlewskiego i Szaleskiego.

W. NARUSZ

W ROZMÓWNICY

Do redaktora „Myśli Narodowej".

Powołując się na odnośne przepisy prawa, uprzejmie proszę o zamieszczenie w najbliższym numerze „Myśli Narodowej" niniejszego sprostowania. P. Zygmunt Wasilewski błędnie zacytował urywek mojego wiersza „Wiosna" w artykule „Wampiryzm poezji semickiej" („Myśl Nar." Nr. 6). Powinno być:

„W harceńskich i tatrzańskich wodogrzmotów huku
Milknie bór rozszumiały nagle do rozpuku".

P. Wasilewski zmienił określenie „rozszumiały" na „roześmiały" i wykpił to nieistniejące w moim wierszu słowo.

Proszę o wydrukowanie niniejszego sprostowania takiemi samemi czcionkami i w tym samym dziale, w którym ukazał się artykuł p. Wasilewskiego.

Lepold Lewin

Warszawa, 19 lutego 1934 r.

Istotnie p. Wasilewski źle odczytał, co się tłumaczy jego słabym wzrokiem, a druk drobny. Ale skądże mógł przypuścić, utkwiwszy ze zdziwieniem wzrok w „rozpuku", że bór pęka z szumu; przecież to jeszcze większy nonsens. Polacy znają to wyrażenie jedynie ze starej lokucji o śmiechu (śmiać się do rozpuku, pęknąć ze śmiechu). P. Wasilewski dlatego ten nonsens niedobrze wyczytał, że się śmiał, nie mógł sobie bowiem nijak wyobrazić, w jaki to sposób bór pęka. Przytem p. Wasilewski nie lubi takich imiesłowów, jak roześmiały czy rozszumiały.

*

Listem prof. Ferensa, ogłoszonym przez nas na tem miejscu w nr. 7, zainteresowało się widocznie wielu przyjaciół pisma, albowiem w ciągu tygodnia otrzymaliśmy dla pana Ferensa wszystkie książki A. Świętochowskiego, o które mu chodziło. A są to książki rzadkie, niełatwe do zdobycia. Za tę wrażliwość na głos człowieka, pracującego umysłowo w tak niewdzięcznych warunkach, i za uczynność składamy szanownym ofiarodawcom serdeczne podziękowanie.

Sprostowanie. W poprzednim zeszycie „M. N." (nr. 8), w rozprawie p.t. „Repertuar stały" opuszczono w dwóch miejscach przymiotnik „polskiej", mianowicie: na str. 102, w łamie drugim, w wierszu 20 od dołu powinno być: „dramaturgji polskiej", oraz na str. 103, w łamie pierwszym, w wierszu 4 od dołu powinno być: „dramaturgji polskiej". Proszę uprzejmie o poprawienie, bo w przymiotniku tym tkwi cały sens obu okresów.

ST. P.

OFENSYWA

W OJCZYŹNIE CHRYZANTEM

TEATR Kabuki-Za w Tokjo wystawił z końcem zeszłego roku nowy utwór znanego autora Mikihito - Nagata p. t. „Kiriszitan-Emaku".

Na prośbę autora przed premjerą (5.XI.1933) odprawiono w katedrze katolickiej w Tokjo uroczyste nabożeństwo ku uczczeniu męczennika za katolicką wiarę Seinosuke, bohatera dramatu pióra Mikihito-Nagata. Na nabożeństwie w katedrze byli obecni wszyscy aktorzy i aktorki z zespołu teatru Kabuki - Za.

Treścią dramatu jest nawrócenie na katolicyzm młodego buddysty rzeźbiarza, któremu pewnego dnia obcokrajowiec Europejczyk zaproponował wyrzeźbienie krucyfiksu i dał jako model swój krucyfiks. Artysta w czasie wykonywania rzeźby zaczyna tak rozmiłowywać się w Boskiej Opowieści, że nietylko sam przyjmuje wiarę świętą, ale zyskuje także dla katolicyzmu swoją narzeczoną. Ponieważ dzieje się to w okresie straszliwych prześladowań pierwszych nawróconych Japończyków, przeto władze domagają się od młodego konwertyty aktu publicznego podeptania krzyża. Młody artysta już chce uciekać z kraju na holenderskim okręcie, ale narzeczona go powstrzymuje. I wtedy oboje ponoszą śmierć męczeńską.

Autor Nagata oparł swój dramat na znanej legendzie męczeństwa Seinosuke.

Bardzo często motywy religijne, chrześcijańskie, katolickie przewijają się w dramatycznej twórczości młodych Japończyków.

* * *

W październiku b. r. 1934 piętnasta międzynarodowa konferencja Czerwonego Krzyża odbędzie się, tym razem po raz pierwszy w... Tokjo.

Wobec drogiej a długiej podróży główny komitet japoński w Tokjo wyjednał moc ulg, zniżek, udogodnień i ułatwień tak na okrętach jak i w hotelach, tak dla delegatów jak i ich rodzin.

Ministerstwo cesarskie kolei japońskich daje każdemu delegatowi i jednemu członkowi jego rodziny bezpłatne bilety I-szej klasy na wszystkich linjach kolejowych w Japonji, Korrei i Mandżu-Ko.

Jest to bezwzględna nowość, na którą dotychczas nie zdobyło się żadne „cywilizowane"... państwo europejskie.

* * *

W styczniu, podczas pobytu Marconi'ego, powstał w Japonji komitet organizacyjny, wyłoniony z pośród delegatów instytucyj przemysłowych i oświatowych, który ma się zająć zebraniem funduszów na budowę pomnika pewnego .. Amerykanina... Tomasza Alvy Edison'a. Pomnik ma stanąć w miejscowości Yavata, znanej w całej Japonji ze wspaniałej świątyni starodawnej, Iwaszimidżu Otokoyama Hachimangu.

Dlatego wystawiają pomnik Edisonowi i dlatego w miejscowości Yavata, ponieważ T. A. Edison, badając 300 gatunków palm bambusowych, których włókno roślinne nadawałoby się do lampek elektrycznych, wybrał bambus z Javata. Ten wybór i ten wynalazek ożywił, zelektryzował olbrzymi przemysł japoński.

Wobec zgonu Edisona i 50-lecia światła elektrycznego naród japoński poczuwa się do obowiązku wdzięczności i genjalnemu uczonemu (niepomny na chamstwo jego rodaków) stawia monument w Javata.

* * *

Reklama japońska ma styl całkiem specyficzny i powiedziećby można nieco barokowy.

Pewna księgarnia w mieście Osaka, mająca 40 filij w całem państwie i zatrudniająca kilkunastotysięczny personel ogłasza swoje wydawnictwa w ten sposób:

„Ceny naszych książek są niższe, niż ceny na wyprzedażach rupieci. Wygląd zewnętrzny naszych książek staramy się, by był taki, jak kimona młodych panien z najwytworniejszych sfer. Druk bywa kryształowo czysty. Papier naszych wydawnictw jest tak mocny, jak skóra słoni. Klijent w naszych sklepach obsługiwany jest tak grzecznie, jak klijent bankrutującego banku, który przyszedł właśnie w nim złożyć swoje wielkie oszczędności. Wszelkie zamówienia wysyłamy z szybkością kuli karabinowej. Opakowujemy zaś z taką starannością, z jaką kochająca żona pakuje garderobę wyjeżdżającego małżonka".

* * *

Cesarska rodzina japońska wywodzi swój ród od Bogini Słońca, czyli Amaterassu Onukami, zwanej również Hino-Mikami. Narodowa flaga japońska, wyobrażająca czerwoną kulę słoneczną na tle śnieżnej bieli, symbolizuje niepokalaność i czystość bogini słońca Amaterassu.

Flagi te powiewają nad cesarskim pałacem i jako bandery na wszystkich statkach wojennych J. C. Mości.

* * *

W Porcie - Artura przeprowadzono w styczniu próby z nowym gatunkiem szkła, wynalezionym przez jednego japońskiego inżyniera. Szkło to nie daje się stłuc. Ani kule rewolwerowe, ani pociski z karabinów maszynowych nie są w stanie przebić tego „mocnego" szkła. Rząd japoński nabył patent na to nowe szkło, którego wyrób stanowi odtąd tajemnicę wojskową.

Kamizelki z tego szkła wyrabiane dostanie w najbliższym czasie najpierw policja, potem marynarka, potem całe wojsko. *Believe or not!*

* * *

Przeludnienie Japonji jest tak bezprzykładne, straszliwe i tragiczne, że usprawiedliwiałoby ewentualnie każdą wojnę prewencyjną czy nie prewencyjną, napastniczą czy nie napastniczą. Bo proszę sobie wyobrazić!

Trzy tysiące wysp i wysepek, wśród których sześć większych ciągnie się od Kamczatki do Formozy na przestrzeni około 300 kilometrów, to znaczy na odległości takiej, jak z Warszawy do... Mekki. Na tych wyspach „Kraju Wiśni"... „Państwa Wulkanów" spotykają się wszystkie klimaty, od wieczystej zimy do tropikaljów... Większość wysp w strefie umiarkowanej, górzyste Podhale z ziemią całkiem nieurodzajną.

Ogółem tylko 17 (siedemnaście) procent terytorjum nadaje się do uprawy. Na terytorjum mniejszem od Polski mieszka 70 miljonów ludzi. Gęstość zaludnienia dochodzi do 800 mieszkańców na klm. kwadratowym. Najgęściej zaludnione w Europie terytorja, t. j. Belgja i Górny Śląsk mają do 260 mieszkańców na kilometr kw.

Na całym globie ziemskim niema ziem bardziej przeludnionych. I tu trzeba dodać, że ten kraj Wschodzącego Słońca jest też zwany „Rajem dla dzieci", których rocznie rodzi się miljon.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Prezes Akademji Literatury Polskiej, p. Wacław Sieroszewski umie zachować majestat swego reprezentacyjnego stanowiska. Oto próbka dostojnego tonu, w jakim właśnie w dniach ostatnich złożył żydom przeproszenie na łamach żargonowego „Momentu":

„Wśród Żydów"—oświadczył—„rozeszła się ostatnio pogłoska, jakobym był antysemitą... Uważam... za swój obowiązek zaprzeczyć fałszywym pogłoskom. Wiem, na czem opierają się pogłoski o antysemityzmie, mianowicie na mojej sztuce teatralnej „Bolszewicy". Jest prawdą, że w sztuce tej znalazło się niewłaściwe wyrażenie pod adresem Żydów, ale kiedy zwrócono mi na to uwagę, wykreśliłem je, i w nowych wydaniach sztuki niema już tego obraźliwego wyrażenia. Skąd się atoli bierze w książce takie wyrażenie? Na to pytanie nietrudno odpowiedzieć. Pisałem tę sztukę w gorących i niespokojnych dniach roku 1920, roku inwazji bolszewickiej, a w takiej naładowanej atmosferze nie może także pisarz pracować z należytym spokojem i opanowaniem".

Pokorny staruszek...

*

Pan Tepa, autor „Freulein Doctor" i „Iwar Kreuger", jak słychać, nakręca obecnie film fantastyczno - historyczny p. t. „Duch Cara". Będzie to widowisko jednocześnie słuchowiskiem, pełnem niewiarygodnych przewcieleń, zestawień obecności z preegzystencją, hokus - pokus, sztuk magicznych z butelką, cylindrem i tezami. Jeden z pierwszych obrazów nakręcano na ulicy Miodowej, jeden z końcowych—w Sejmie. Alegoryczną postać Elity odtworzy Zula Pogorzelska.

*

Po słynnem już w stolicy wyznaniu „Teatr Polski—Nad Przepaścią", goreje obecnie nad ulicą Obożną taki rebus:

KUP EC N CKI

Zapewne p. Kaden, usiłując przyciągnąć opieszałą publiczność, przeniósł dział „rozrywek umysłowych" ze swojej redakcji na dach swojego teatru.

A może to neonowy przebłysk spóźnionej oszczędności?...

TREŚĆ:

Najważniejsze zagadnienie *R. Rybarskiego.* — Praca zarobkowa kobiet *M. Sucheni-Rutkowskiej.* — Koń Trojański *P. Ponisza.* — Nowe studjum o filozofji Cieszkowskiego *I. Chrzanowskiego.* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Głosy. — Nauka i literatura („Prosto z mostu" *A. J.*, — Teatr *G.* i *W.* — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Muzyka *W. Narusza.* — W rozmównicy — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9 87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.